1876





PROSPEKT.



Pismo nasze z dniem 1. Września rozpoczęło szósty rok swego istnienia. Fakt ten jest najwymowniejszym dowodem, że *Tydzień* wśród nieprzyjaźnych warunków dla wszelkiego rozwoju literackiej działalności w Galicyi, wśród konkurencyi pism niemieckich i warszawskich, potrafił sobie wyrobić poważne grono czytelników, którzy znajdują w nim zaspokojenie swych potrzeb umysłowych. Zamiarem naszym jest nieustawanie w tej pracy, lecz owszem dalszy możebny rozwój pisma w obranym kierunku na podstawach trzeźwo pojmowanej moralności i obowiązków społecznych. Łącząc użyteczne z przyjemnem postaramy się i nadal obznajmiać Czytelników z tem wszystkiem co stanowi podstawę wiedzy wykształconego człowieka i Polaka, co go orzeźwia a po ciężkich trudach codziennego życia rozerwie i rozweseli.

Będziemy i nadal podawać w *Tygodniu* utwory najulubieńszych dziś i najbardziej czytanych autorów. Redakcya nasza powiększona współpracownictwem znanego poety-satyryka p. M. Rodocia, posiada w gronie swojem ludzi wykształconych specyalnie do śledzenia postępu we wszystkich kierunkach literatury, nauk, sztuk i rozwoju społecznego. Pragniemy bowiem aby pismo nasze dawało zawsze pełny obraz bieżącego życia cywilizacyjnego i ogólnego rozwoju nauki.

Tydzień wychodząc w kraju wolnym od wszelkich ścieśnień cenzurowych i dotykając spraw ogólnie polskiego interesu, stoi na innem zupełnie stanowisku niż tego rodzaju literackie pisma warszawskie. Dlatego liczymy, że czytająca publiczność podzielając zapatrywania nasze co do konieczności rozwoju *Tygodnia*, dziś jedynego pisma literackiego w Galicyi, zechce i nadal nieodmawiać nam tej sympatyi i życzliwości jakiemi dotąd to pismo otaczała.

Nie podzielamy zdania tych, którzy w dziejach narodu naszego widzą same ujemne strony i radzą zerwać z przeszłością — ani tych, którzy w postępie i nowych poglądach widzą zupełne potępienie tradycyi. Kochamy przeszłość naszą tak bogatą w cnoty i wielkie czyny — szanujemy dawne prawodawstwo nasze, którego liberalne ustawy zaledwo dziś dopiero zdobywa powoli ludzkość dla siebie — lecz wiedząc że tylko poznawszy ją dokładnie tę przeszłość naszą możemy dla przyszłości budować, nie wahamy się roztrząsać ją krytycznie i wykazywać ujemne jej strony albo przeżyte formy.

Również pojmujemy to dobrze, że nie idąc z postępem, pozostalibyśmy po za całą ludzkością. Staramy się badać prądy nowe i bez zgóry powziętych uprzedzeń poddajemy analizie tak nowe objawy w życiu społecznem, jak nowe kierunki naukowe.

Ludzi dobrej woli i kochających ojczystą literaturę prosimy zatem o szczerą pomoc i opiekę, w tej nadziei, że łącząc wspólne usiłowania nasze koło dobra publicznego wypełnimy swój obywatelski obowiązek.

Wszelkie korespondencye z prowincyi o faktach i zdarzeniach mogących interesować szersze koła czytelników prosimy nadsyłać do redakcyi.

Z większych powieści *Tydzień* obecnie drukuje:

najnowszą powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE

oraz przekład powieści jednego z najznakomitszych współczesnych powieściopisarzy *Emila Zoli*

KARTKA MIŁOŚCI

Obok większych powieści zamieszczane są w *Tygodniu* pomniejsze nowelle tak oryginalne: J. I. Kraszewskiego, J. Blizińskiego, J. Chorośnickiego, Zofii Rudnickiej, K. Wolskiego, Hr. Olgi Komorowskiej i innych, jak i nowelki tłumaczone z języków francuzkiego, angielskiego, włoskiego, niemieckiego i hiszpańskiego. Tak że każdy numer zawiera dwie duże powieści i dwie mniejsze.

Rozpoczęliśmy również druk oryginalnej podróży po Wschodzie p. t. *Wrażenia z podróży*, po ukończeniu której mamy przygotowaną do druku podróż *Karola Brzozowskiego*, którego pamiętniki drukowane w r. z. w *Tygodniu* tak sympatycznie przyjęte zastały przez ogół światłych czytelników.

Wkrótce rozpoczniemy druk nowej seryi znakomitych *Studjów estetycznych* hr. Wojciecha Dzieduszyckiego: *Sztuka chrześcijańskiego Rzymu* i *Sztuka nadreńska*.

Po ukończeniu druku Edwarda Laboulaya: *Państwo i jego granice* przystąpimy do druku nadzwyczaj zajmującej pracy Dr. Rozenblatta *O pojedynku*.

Do *Przeglądów literackich* i *krytyki* dzieł nowych mamy zapewnione współpracownictwo pp. Wł. Kozłowskiego, Józefa Tretiaka, Dr. Bolesława Limanowskiego, przy współudziale innych pisarzy.

Kronikę odkryć i wynalazków podaje jeden z najzdolniejszych młodych profesorów p. Bruno Abakanowicz.

Pogadankę humorystyczną zawiera *Tydzień* w każdym numerze pióra znakomitego humorysty polskiego Alberta Wilczyńskiego (Autora Kłopotów starego komendanta).

Poezye podaje *Tydzień* tylko wyborowe.

Z większych powieści posiadamy w tece:

ELIZY ORZESZKOWEJ

SIELANKA NIERÓŻOWA

HR. OLGI KOMOROWSKIEJ

CYPRYAN FORTUNOWSKI

ZOFII RUDNICKIEJ

MIŁOŚĆ I WOLA

JANA LAMA: KARJEROWICZE

WŁ. SABOWSKIEGO

POZORY

powieść amerykańska.

DZIECI HELENY

Nadto mamy przyobiecane powieści:

J. I. KRASZEWSKIEGO I A. WILCZYŃSKIEGO.

Warunki prenumeraty:

Tydzień wychodzi w każdą Sobotę w objętości dwóch dużych arkuszy, na ładnym papierze z osobną okładką. Każdy numer *Tygodnia* zawiera treści na wielkie pół tomu książki.

Prenumerata	całoroczna	we Lwowie	14 złr.	— ct	z przesyłką	17 złr.	60 ct.
„	„ półroczna	„	„ 7	„ —	„ „	„ 8	„ 80 „
„	„ kwartalna	„	„ 3	„ 50	„ „	„ 4	„ 40 „

Prenumeratę upraszamy nadsyłać wprost pod adresem: **Księgarnia Polska we Lwowie.** Za wynikające bowiem nieporządki z pośrednictwa osób trzecich nie możemy przyjmować odpowiedzialności.

Posiadając niewielkie zapasy *Tygodnia* z lat ubiegłych, zawierające wybór powieści najznakomitszych powieściopisarzy polskich i obcych i bardzo bogatą treść literacką i naukową, możemy takowe na żądanie dostarczyć. Bliższe warunki i treść sześciu tomów znajdzie czytelnik na okładkach *Tygodnia*.

Obok *Tygodnia* wychodzi

SPIEWNIK POLSKI

zbiór wszystkich pieśni polskich. Serja z 12 tomików w prenumeracie 2 złr. z przesyłką 2 złr. 24 ct. Na ładnym papierze 3 złr. z przesyłką 3 złr. 25 ct.



Adres wydawnictwa:

KSIĘGARNIA POLSKA

we Lwowie, 14 plac Halicki.



Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 2. Stycznia 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKÓWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

I.

Rok 1876.

Przed tajemniczym stanęliśmy sfinksem... pamiętamy co było, a nie wiemy co się stanie — nie zapomnieliśmy jak wyglądał r. 1875, a nie przeczuwamy nawet co nam przyniesie r. 1876.

Z każdym nowym rokiem człowiek zwykł się łudzić różowemi nadziejami, a gdy dobiegnie do ostatniego Grudnia, dziwi się i narzeka, że żadna z tych nadziei nie ziściła się tak, jak pragnął.

Ponieważ zwykła to kolej w życiu naszem, więc w tym nowym roku starajmy się mieć mniej nadziei bezpodstawnych, a doznamy mniej rozczarowań.

Przedewszytkiem nie twórzmy się alarmującemi pogłoskami o rychłej wojnie, ani nie budujmy na nich zamków fantastycznych. W wojnę ogólną trudno uwierzyć, gdyż wielkie mocarstwa najmniej są dziś do niej przygotowane; a bez wojny powszechnej w stosunkach naszych nie może nastąpić ważna zmiana.

Twierdzenie zaś, że moglibyśmy się dostać pod inne mocarstwo na drodze układów dyplomatycznych — jest bezsensem. Lecz gdyby w tym roku i do wojny przyjść miało, w co jednak nie wierzy nikt na rzeczy zimno patrzący, to i w takim jeszcze razie nie powinniśmy bezczynnie rąk zakładać, zdając najważniejsze sprawy na łaskę Opatrzności. Cóż byśmy powiedzieli o człowieku, który na pytanie, dla czego mieszka w szałasie i domu sobie nie zbuduje, chociaż go stać na to, odpowiedziałby spokojnie: „Pożar mógłby mi dom pochłonąć!“ — Taki człowiek byłby szalonym.

A my niestety mieszkamy dotąd w szałasie narażonym na wiatry i słoty, o domu zaś trwałym aniśmy pomyśleli. Przyzwyczajeni od najwcześniejszej młodości powtarzać: jakoś to będzie! nie uczymy się rozumu ani z doświadczeń cudzych ani własnych, i nie pomni, że tylko pracą wytrwałą możemy dobić się lepszej doli, nie robimy sami nic, chcąc koniecznie, by za nas ktoś robił; lecz że ten ktoś nie zjawia się, więc i stosunki nasze ciągle anormalne.

Kilka miesięcy temu w jednym z artykułów poświęconym naszym stronnictwom, mówiliśmy o obozie postępowym, do którego z małemi wyjątkami należy prawie cała inteligencja. Wykazawszy wtedy, co głównie przyczynia się do rozbicia tego obozu, zwróciliśmy uwagę na niezbędną konieczność jego organizacji. Jedno z pism politycznych poparło nasze poglądy, wszyscy dobrze myślący przyznali nam rację — ale czy zrobiło się cokolwiek w ciągu roku ubiegłego? Nic... Inteligencja narzeka, czasem krzyczy, najczęściej zaś zwala winę na wszystkich tylko nie na siebie — i nic, nic nie robi. Czy może być mowa o polepszeniu stosunków w kraju, którego rdzeń jest bezczynną, którego najliczniejsze stronnictwo zamiast organizować raczej dezorganizuje? Czy w tym nowym roku obóz postępowy także bez organizacji zostanie?

Miejmy jednak nadzieję, że inteligencja opamięta się, i wreszcie pójdzie za przykładem, jeżli już nie innych obozów uorganizowanych, to przynajmniej — wieśniaków. Nie przesadzamy! Wieśniacy, ten stan, którego wczoraj jeszcze nie braliśmy w rachubę, może już wkrótce będzie mógł służyć za wzór naszej inteligencji. Oto donoszą z Przemyskiego, że w niektórych okolicach poruszono tamże myśl utworzenia komitetu włościańskiego, który by za pośrednictwem filij, rozrzuconych po całym kraju, wyrokował we wszystkich sprawach politycznych i społecznych. Włościanie zaczynają się więc przebudzać, przychodzą do samopoznania, które fatalne może mieć dla nas następstwa, jeżeli nie przeszkodzimy, aby wrogie nam żywioły nie wzięły nad nimi przewagi — włościanie, powtarzamy, poczuwają się już do obowiązków obywatelskich — a nasza inteligencja siedzi z założonemi rękami, ciągle powtarzając: Jakoś to będzie!

Oj źle będzie, jeżeli o sobie szczerze nie pomyślimy! Rok nowy rozpoczynamy wśród najgorszych okoliczności, a dotąd nie słychać, by ludzie, od których to zależy, myśleli o zażegnaniu burzy, którą łatwo może skończyć się klęską ogólną. Kraj z rolnictwa żyjący, jak nasz, dla którego bydło jest wszystkiem, widzi się w przededniu katastrofy. Gotówkę, jeżeli gdzie była, pochłonęły smutne spekulacje giełdowo-kolejowe; niemożność wywiezienia zboża za granicę, i spieniężenia go tam po lepszych cenach, zniszczyła w dwóch latach najzamożniejszych obywateli; a brak paszy w roku ubiegłym zrujnował włościan, którzy są zmuszeni oddawać inwentarz za bezcen. Następstwa łatwe do przewidzenia. Z wiosną będziemy mieli głód ze wszystkiemi jego skutkami. Czy pomyślał kto jak złemu zaradzić? Jak dotąd nikt.

Pracy więc wytrwałej potrzeba nam w tym nowym roku, pracy sumienniejszej niż kiedykolwiek, a zamiłowania do tej pracy wszystkim dziś życzymy!

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

III.

Wieczorem tegoż dnia syn i ojciec, jak na ojca i syna przystało, zdawali sobie wzajem sprawę z swoich zabiegów dla dobra ojczyzny.

Pan Artur dowiedział się o rezultacie rozmowy z Pawłem Onufryjewiczem, marszałek o rozkazie pod karą śmierci i o czterystu rublach, złożonych jego imieniem na ołtarzu ojczyzny.

— Cóż, kontent jesteś ze mnie? — zapytał marszałek, klepiąc się z zadowoleniem po brzuszku.

— A ty ojcze ze mnie? — odrzekł syn.

— Ja z ciebie nie tak bardzo.. czterysta rubli jak w błoto wpadło... mogłeś był na trzystu poprzestać.

— Ale Zaskale.

— Jakie Zaskale? co Zaskale?... czy myślisz może że oni wygrają i że potem za pomocą tego kwitu będziemy mogli...

Tu marszałek urwał dyplomatycznie. Nie potrzebował kończyć — wybornie rozumieli się z synem.

— O tem nie myślę... idzie mi tylko o dobro naszego kuzyna, rotmistrza, — odrzekł syn ze złośliwym uśmiechem; — gdyby kiedy za jego grzechy chciano konfiskować tę wioskę, to możemy powiedzieć: widzicie, sam rząd podziemny, który pewno nie chciałby krzywdy tych, co za niego przejechali się na Sybir, uznaje nas właścicielami, grozi nam śmiercią...

— Rozumiem... ale po co ta groźba, ten papier?...

— Zgadnij, ojcze.

— Poczekaj, pomyślę.

Interesująco wyglądał pan marszałek kiedy chciał na poczekaniu o czem pomyśleć. Głowa jego cofała się wówczas w tył, ale zapominała zabrać z sobą podbródka, skutkiem czego otwierały się usta, a twarz zwykle szersza niż dłuższa, stawała się okrągłą jak księżyc w pełni. Powieki robiły wszelkie możebne wysilenia ażeby przykryć wybałuszone oczy. Ręka prawa wznosiła się do góry, wskazujący palec wypełniał ważną misję wskazywania w sufit, a brzuszek i piersi wznosiły się wysoko i opadały na dół ciężkim oddechem. Myślenie na poczekaniu należało tym sposobem do najmozolniejszych funkcyj fizjologicznych w organizmie pana marszałka.

W takiej pozycji pozostał nasz arystokrata przez chwil kilka, poczem zwolna powrócił do naturalnej postawy i opuszczając na dół palec wskazujący, rzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Wyobraź sobie, nie mogę się domyśleć.

Tak się najczęściej kończyło „myślenie na poczekaniu“ pana marszałka.

Syn, który nieraz widywał podobne zadumy swego rodzica, przypatrywał się tej milczącej scenie z uśmiechem, a gdy ojciec przyznał nareszcie, że jego domyślność jest bezsilną, rzekł:

— I żebyś ojciec sto lat myślał, tobyś się nie domyślił... na to trzeba takiej głowy jak moja.

Kandydat na guberskiego marszałka nie uraził się wcale za tę uwagę swego jedynaka.

— Więc powiedz, — rzekł z skromnością cechującą ojców, którzy już do pewnego stopnia przywykli, żeby im imponowali synowie.

— Naturalnie że powiem, — śmiał się pan Artur — za pomocą tej groźby dostanę tajną misję zagranicę od tajemnego rządu.

— Oh! oh!

— Załóż się ojcze, że tak będzie.

— Ba! skoro się zakładasz, to musisz być pewny; a kiedy tak, to ja ci powiem, że ty jesteś wielki Arturze.

I oko rodzica z nieudanem zadowoleniem spoczęło na twarzy syna.

Pan Artur przyjął pochwałę jako hołd należny swojej wielkości, ale skromny nadspodziewanie nie myślał sobie przypisywać całej zasługi.

— No, przyznać trzeba — rzekł, — że i ojciec trochę mi dopomogłeś...

— Ja? — zawołał marszałek z wyrazem przyjemnego zdziwienia.

— Tak jest, ty ojcze... ten interes z Flidersem przyda mi się do mego planu.

Twarz marszałka wyrażała ciekawość. Wyrażała jak mogła, wiadomo bowiem, że niełatwo jej było coś wyrażać. Wydęte usta ułożyły się już do wymówienia litery o, nos poszedł w górę tak, że z poziomem tworzył kąt czterdziestu pięciu stopni, oczy usiłowały się przymrużyć. Wszystko to przecież musiało coś wyrażać, a że w danej chwili nic innego wyrażać nie mogło, więc musiało wyrażać ciekawość, jakim sposobem interes z Flidersem mógł się przydać do planów syna.

— Przedewszystkiem — mówił syn dalej — musimy się postarać o to, żeby u nas w domu była rewizja. Rewizja widzi ojciec to dowód że nas rząd podejrzewa, i że tamci ufać nam mogą.

— Dyplomataj z ciebie — rzekł ojciec.

— Nie starałbym się o dyplomatyczną misję, gdybym nie był dyplomatą, — odpowiedział pan Artur, muskając wąsa z głębokiem wewnętrznem zadowoleniem.

— Rewizja... nietrudno postarać się o to, — rzekł po chwili ojciec, — no i naturalnie nie znajdą nic.

— Owszem znajdą...

— Oh! oh! ja widzę żeś ty gotów nawet mnie narazić, żeby się tylko twoje plany udały.

— Nie obawiaj się ojcze, nie narażę cię wcale. Nie znajdą kwitu na odczepne, które dać przecież musiałem, ale znajdą ten rozkaz... pod karą śmierci...

— Brawo! — zawołał marszałek klaskając w ręce — teraz już wszystko rozumiem... doskonale rozumiem... ty jesteś dyplomata, powtarzam, ty jesteś wielki dyplomata, Arturze... tyś Metternich... i gdybym nie był twoim ojcem, chciałbym być tobą. Wszystko doskonale rozumiem. Ja potem jadę do gubernatora usprawiedliwić się niby z tego znalezionego pisma rewolucyjnego. Naturalnie nic mi nie zrobią, owszem po chwalę się, że mimo groźby tak okropnej nic nie daję i nic nie dam. Wytłumaczę jeneral-gubernatorowi że rząd byłby bez serca gdyby mi dalej kwestjonował własność Zaskala. Jeżeli będzie trzeba posmaruję i uznają tę sprawę za ubitą. Miałeś rozum że i w tym rozkazie postarałeś się żeby o Zaskalu była wzmianka. Wyborny plan!

— Tak... ale nie cały jeszcze.

— Nie cały?... czegóż mu brakuje? — zapytał marszałek zdziwiony.

— Najważniejszej rzeczy. Nie ma w tem wcale jeszcze misji tajemnej dla mnie.

— Prawda... masz słuszność — rzekł marszałek spostrzegając znowu że jego domyślność ma bardzo skromne granice, — w istocie nie ma w tem jeszcze tej misji tajemnej dla ciebie.

— Otóż jest, — rzekł pan Artur stanowczo. — Natychmiast po twym powrocie do Łaszczyniec jadę do Kamieńca i zawiadamiam naczelnika wojewódzkiego organizacji, że Fliders podał taki a taki donos do gubernatora, że gubernotor nabrał do ciebie takiego zaufania w skutek znalezionego rozkazu, a niaznalezionego kwitu, że się z tem przed tobą wygadał iż będzie się starał u rządu o najsilniejsze obsadzenie wojskiem tej okolicy. Wiadomość taka to ogromna przysługa dla powstania, przyjmę ją z zachwytem, rzecz niewątpliwa. Potem dodam, że wyciągnąwszy gubernatora na słówko dowiedziałeś się jeszcze innych rzeczy, które tylko wyższym sferom organizacji warszawskiej powierzyć można. Naczelnik wojewódzki skomunikuje mnie z Warszawą, a jak się tylko raz z nimi zetkną, to już moja rzecz żebym swojego celu dopiął.

Marszałek słuchał swego jedynaka ze zdumieniem. Pysznił się jego głębokim dyplomatycznym rozumem, czuł, że sam nie byłby zdolny do tak wszechstronnie obmyślanego planu, co mu jednak nie przeszkadzało zawołać:

— Doprawdy! tyś się we mnie wrodził Arturze... Ot, wiesz co, ja odrazu postaram się u guberstwa o paszporty dla ciebie do Warszawy i za granicę.

— A ja tymczasem po rewizji postaram się kilku zapaleńcom tutejszym pokazać kwit z opłaconego datku na powstanie. Cała sztuka, w takich sytuacjach umieć płaszcz nosić na obu ramionach...

— Bo jak nosić na jednem to z łatwością spadnie, — dodał sentencjonalnie marszałek

Po chwili jakby coś sobie przypominając, rzekł jeszcze:

— Gdybym nie ufał twojej głowie, tobym dodał przestrogę, żebyś był bardzo oględnym z pokazywaniem tego kwitu. Taka rzecz grubą kontrybucją pachnie.

— Masz ojciec słuszność, że tego nie dodajesz, — odpowiedział pan Artur,—gdyż przestroga byłaby zupełnie zbyteczną.

Tak ułożywszy plan kampanji ojciec z synem rozeszli się.

Widzieliśmy, że po odjeździe Flidersa pan marszałek miał atak słabości, którą według dawniejszej terminologji nazywano wyrzutami sumienia, a która obecnie, gdy pozytywna wiedza usiłuje wykreślić z dykcjonarza wszystkie wyrażenia nie mieszczące w sobie żadnej materjalnej treści, nazywa się podobno wynikiem otrzymanego wychowania.

Syn, po ułożeniu komedji której plan powyżej powtórzyliśmy, nie miał zupełnie takiego ataku.

Był to już wychowaniec następnej epoki, zahartowanej przeciw tego rodzaju przesądnej nerwowości.

Ta różnica między ojcem i synem była podobno znakiem, że po epoce w której najgorsi nawet wstydzili się nie brać udziału w krwawych wysileniach narodu, przyjdzie epoka, w której znajdą się tacy, co jawnie na te wysilenia plwać będą. I chociaż tacy osłaniają się zwykle płaszczykiem dawnych zasad, chociaż się mienią obrońcami tradycji, wyznawcami wiary i prawymi synami ojczyzny, wątpić przecież nie można, że to

tylko płaszczyk, że w głębi przekonania trzymają oni z tymi, którzy wierzą w to tylko co ma treść materjalną, chociaż lubią używać wyrazów o niematerjalnej treści...

Dosyć jednak aluzji do dzisiejszej chwili, czytelnik ich nie lubi w powieści, a my nie mamy do nich prawa bo inne opisujemy czasy. Wróćmy więc do nich.

IV.

Zaraz nazajutrz pan Artur zabrał się do urzeczywistnienia ułożonego planu, zabrał się jak prawdziwy szlachcic polski, który kroku bez żyda stąpić nie potrafi.

Każdy jednak gatunek szlachcica polskiego ma swój odpowiedni gatunek żyda, różniący się od drugiego jak ryba od ptaka, chociaż nieprzyjaciele żydów, nieznający ich bliżej, uparcie twierdzą że oni wszyscy do siebie podobni.

Widzieliśmy jakimi żydami posługiwał się rotmistrz Gradowski. Zyd pana Artura i pana marszałka do wcale innej należał ka tegorji.

Był to handlarz zboża, handlujący przy okazji wszystkiem innem na czem można było zarobić. Byłby sprzedał sam siebie, gdyby wiedział, że się za czas jakiś odkupi z zyskiem. Mieszkał w Gradowcach, nazywał się Berek Goldgeber, i wart był tego nazwiska, bo każdemu dawał pieniędzy, kto miał co do sprzedania, a brał tyle ile dawał on. Mimo to, dla skrócenia zapewne nazywano go rudym Berkiem, ponieważ miał włosy koloru dobrze wypalonej cegły.

Rudy Berek był typem żyda-spekulanta, który na wszystko zapatruje się ze stanowiska *geszeftu*. Wszyscy żydzi są takimi potrosze, ale inni po za *geszeftem* mają ro dzinę, mają coś do czego się przywiązali, a wyjątkowi, jak Mortko, potrafią nawet zapomnieć o interesie, idealni, jak Józef, umieją nawet wznieść się do wznioślejszych uczuć i zapomnieć o wszystkiem co ma jakikolwiek związek z szacherką; rudy Berek tych wszystkich rzeczy nie rozumiał. Opowiadano o nim, że gdy mu belfer po raz pierwszy powiedział że Bóg stworzył świat, on odpowiedział na to zapytaniem, na jakie żaden może belfer nie miał jeszcze sposobności uczniowi swemu odpowiadać:

— Nu, to dobrze że stworzył, ale co on na tem zarobił?...

W tem zapytaniu dziecka charakteryzował się człowiek.

U innych żydów istnieje różnica pomiędzy uczciwością i zyskiem, u rudego Berka były to zupełne jednoznaczniki. Co było zyskownem było dla niego uczciwem, a co niezyskowne występem.

Pomimo takich zasad, rudy Berek nie miał, a nawet właśnie z ich powodu nie mógł mieć znaczniejszego majątku, choć go się od młodu dorabiał ciągłemi spekulacjami, ciągłą oszczędnością i odmawianiem sobie wszystkiego, aż do łyżki ciepłej strawy, któréj prócz szabasu przez cały tydzień nie miał w ustach. I nie mogło być inaczej. Żyłka spekulancka jest potrosze żyłką szulerską. Im więcej kto wygrywa tem więcej stawia, aż w końcu, choćby najkorzystniejsze szanse miał dla siebie, raz przegrać musi grubo i znów od małych stawek grę rozpoczynać.

Rudy Berek był takim szulerem spekulacji, i nieraz w życiu zgrywał się do nitki na interesa, które go widokami ogromnych zysków znęciły, a zupełnie zawiodły w końcu. Nie zrażało go to bynajmniej. Gdy upadł wracał zawsze do punktu wyjścia, to jest do Gradowiec i rozpoczynał spekulacje na nowo od dobrego faktorstwa i małego handlu. Dorobiwszy się na tem, zaczynał handel końmi, potem zbożem, a wreszcie dalej ruszał, szukając obszerniejszej widowni dalej, co znaczyło Kamieniec, albo Dubno, później Kijów. Raz już doszedł tak daleko że miał dom i handel w Odessie i dopiero w tem Eldorado odwróciła się od niego karta. Schwytany na jakiejś olbrzymiej kontrabandzie stracił wszystko co miał i *per pedes*, ciągnąc troje dzieci na wózku, do którego konia nie było, z żoną, która to zsiadała i pomagała ciągnąć to znów zmęczona drapała się na wózek, przybył z powrotem nad Smotrycz.

W tej chwili kiedy go zapotrzebował pan Artur, Berek jak powiedzieliśmy, handlował już zbożem, dorobił się znów zatem, poraz niewiadomo który, tyle, że mógł zacząć myśleć o przeniesieniu się do więcej zysków nastręczającego ogniska. Wybuch powstania zatrzymał go jednak na miejscu. Spekulacyjnym węchem wietrzył w tym ruchu interes, na którym można było zarobić, geszeft niekoniecznie bezpieczny i pewny, ale dla zapalonego spekulanta tem ponętniejszy. I on także przed wytknięciem sobie drogi postępowania zastanawiał się nad tem, na którem ramieniu płaszcz nosić, i przyszedł do wniosku, że najlepiej nie nosić wcale płaszcza, bo przez noszenie zawsze się niszczy.

Ta polityka rudego Berka, napozór wprost przeciwna polityce łaszczynieckiego pałacu, w gruncie przecież wychodziła na jedno. Marszałek i syn jego starali się być dobrze z obydwiema stronami z zasady, a rudy Berek myślał o tem jak wyzyskiwać obie strony także z zasady. A ponieważ w walce dwóch stron jednakowe obustronne straty i korzyści wzajem się kompensują, więc obie polityki służenia i powstaniu i Moskalom jednakie przynosiły pożytki lub ubytki, były więc mimo pozornego przeciwieństwa zupełnie równe.

W rudym Berku znalazł zatem pan Artur pośrednika do wykonania pierwszych podstaw swego dyplomatycznego planu, to jest do wywołania niespodziewanej rewizji w Łaszczyńcach.

Zadanie to zbyt było łatwe, żebyśmy potrzebowali nużyć czytelnika szczegółowym opisem jak były kamerjunkier zabrał się do rzeczy. Powiemy tylko, że nie był tak nieprzezornym, żeby Berkowi dać odgadnąć co właściwie ma na celu.

— Znasz zasidatela Iwana Iwanowicza? — rzekł do niego bez żadnych wstępów.

— Nu, ktoby jego nie znał, tego pijanicy, z przeproszeniem jaśnie pana, — odpowiedział żyd uchylając jarmurki.

Wstrzemięźliwy jak wielu żydów, może nawet bardziej niż wszyscy, Berek, który się niczem podobno nie brzydził, czuł jednak odrazę do pijaństwa i do pijaków, co mu przecież nie przeszkadzało upić się kilka razy w życiu, gdy tego wymagały geszefta.

— Idzie mi właśnie o to, żeby go spoić...

— Nic łatwiejszego, jaśnie panie... dwie kwarty dzieńgielówki wystarczy... ja za trzy karbowane zrobię ten interes.

— Ba! ale kiedy mi idzie, żeby go spoic tutaj, u mnie w pałacu...

— Ny, to posłać...

— Wystarczyłoby, wiem i o tem... trzeba jednak żeby sądził, że ja nie wiem że on przyjdzie.

— O wa! i to nietrudno... jaśnie pan każe, ja go jeszcze dzisiaj przywiozę.

— Musi przyjechać sam...

— Zsiądę przed bramą...

— Na nic się nie zdało, musi przyjechać bez ciebie, ale... z kozakami — dodał pan Artur trochę ciszej.

— Jasny pan chce kogo kazać chwytać? — zagadnął żyd, czując że się staje powiernikiem jakiejś tajemnicy, co mu pewną korzyść wróżyło.

— Do ciebie nie należy czego ja chcę... chcę może, żeby przez ten czas gdzieindziej z kozakami nie pojechał... to nie twoja rzecz... Zrobisz co ci każę?

— Byle nie w ogień skoczyć jasny pan kazał, to zrobię... jasny pan przecież nigdy nie chce krzywdy biednego żydka.

— No, to jedź do niego i powiedz, że tu był u mnie ktoś podejrzany... rozumiesz... że mi dał papier, ja ten papier czytałem, a kiedyś wszedł tom się zmięszał i schowałem go do biurka, do tej oto szufladki. Że ten człowiek może jest jeszcze a może nie ma, ale papier z pewnością jest... Tylko czy będziesz umiał powiedzieć zręcznie.

— Nu, ja jemu to powiem do samego ucha... co ja za to zarobię?

Targ stanął prędko, wypłata nastąpiła zaraz, a w pół godziny potem rudy Berek siedział na koniu i wyjechał z Łaszczyniec niby ku Gradowcom, ale jak tylko z rezydencji pana marszałka widzieć go nie można było, skręcił zaraz na lewo i przez manowce pocwałował ku Kamieńcowi do znajomego nam już czastnego prystawa.

Okazało się wkrótce, że rudy Berek nie przecenił swojej zręczności. Zasidatel dał się złapać na wędkę. Tegoż jeszcze wieczora przyjechał do Łaszczyniec bryczką eskortowaną przez kilkunastu kozaków i kilku żandarmów.

Zajechał przed bramę pałacową butnie i z hałasem. Napotkaną służbę zwymyślał na początek, grożąc jej pięściami i zapewniając, że ją jak psów powystrzela, jeżeli się ruszyć z miejsca albo słówko pisnąć poważy.

Ale wydając rozkaz milczenia szanowny zasidatel sam wrzeszczał, tak że spotęgowana donośność jego głosu wystarczyłaby najzupełniej do ostrzeżenia wszystkich i zawiadomienia co się stało, gdyby ostrzeżenia i zawiadomienia była potrzeba.

Nie czynił tego Iwan Iwanowicz przez chęć przysłużenia się nieznacznie tym, u których miał odbywać rewizję, ani z wiado-

mości, że kto innym nakazuje być cicho, aby jego bytności nie zdradzili, sam także cicho być powinien.

Powód krzyku Iwana Iwanowicza był czysto-geograficzny. Gdyby geografia na drodze z Kamieńca do Łaszczyniec nie była umieściła karczmy w Rozdrożu, Iwan Iwanowicz nie byłby krzyczał.

W Rozdrożu był właśnie Mortko konstantynowski, i usłyszawszy turkot bryczki i tętent kilkunastu koni na trakcie, zwrócił bliższą uwagę na najeżdżających.

Gdy przyjechali i poznał zasidatela, nietrudno mu było domyśleć się, że Iwan Iwanowicz przejażdżki z takim konwojem nie może odbywać bez celu. Dobre stosunki, w jakich był z zasidatelem, nasuwały Mortkowi myśl, że mu się uda go wybadać, potrzeba go było zatrzymać.

I to zadanie nie było tak trudnem.

Dla zasidatela karczma w Rozdrożu pełną była romantycznych wspomnień dzieńgielowki i panny Olgi Onufryjewny, nic więc dziwnego że uległ pokusie, gdy go Mortko zaprosił na kieliszeczek, i nic dziwnego że wypiwszy jeden kieliszek, wychylił ich jeszcze kilka *na pohybel miateżnikom.*

Przy pierwszym kieliszku tail się z tem gdzie jedzie, po drugim najokropniej wymyślał Mortkowi, po trzecim chciał go całować, a po czwartym powiedział mu do ucha, że u marszałka ukrywa się buntowszczyk i są do znalezienia rewolucyjne *bumagi.*

Co Iwan Iwanowicz mówił po piątym i szóstym kieliszku, to już nie było interesującem dla Mortka. Poczciwemu arendarzowi głównie szło o to, czy zasidatel nie ściga za pewnym młodzieńcem, który jadąc z Łaszczyniec do Zahajpolszczyzny wstępował także do Rozdroża, i wyjechał ztamtąd z kieszenią pełniejszą o kilkadziesiąt karbowańców, które z rąk poczciwego żyda przeszły do narodowej skarbonki.

Gdyby się był zasidatel wygadał, że za nim goni, byłaby prawdopodobnie Ryfka otrzymała znak jaki, aby do dzieńgielówki jeszcze więcej spirytusu dolała i żeby przyniosła większy kieliszek, o marszałka jednakże Mortko nie był w wielkim kłopocie.

— Nu, on sobie i sam da radę, od tego on marszałek — pomyślał poczciwy żyd i po szóstym stakanie nie zatrzymywał już zasidatela.

Na odjezdnem dał mu nawet przestrogę, żeby przyjechawszy do pałacu nakazał służbie milczenie.

Iwan Iwanowicz uznał trafność tej przestrogi i zastosował się do niej, a że sam wrzeszczał tak iż mógł wszystkich, którzyby już spali, pobudzić, pochodziło to ztąd że miał w głowie aż sześć stakanów.

W pałacu łaszczynieckim nikt przecież nie spał — gotówby kto pomyśleć że oczekiwano na tę rewizję. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

Uśmiechnął się król, podał rękę, którą kanclerz pocałował, i jeszcze go uścisnął. Jakoś zaraz na następnym sejmie książę Karol otrzymał księstwo Kurlandzkie*), które w kilka lat później intrygami i przemocą Katarzyna II oddała Bironowi, a po jego śmierci do cesarstwa przyłączyła.

Kanclerz więc Małachowski, mając tak wielkie dostatki, miasto Końskie erygował, pierwsze fabryki żelazne założył, przedmieście Pomyków, domy z piętrami na sposób Szląski wystawił, i rękodzielników zagranicznych sprowadził. Nakoniec ogród i mieszkanie zaczął zakładać, na wzór letniego królewskiego mieszkania w Pilnitz, gdy śmierć wczesna nie pozwoliła mu dokończyć tego planu. Umarł bowiem w r. 1763, w krótce po śmierci Augusta III. nie doczekawszy elekcji nowego króla. Zostawił czterech**) synów i ośm córek, z których 7 było zamężnych. Było zaś wszystkich dzieci 23, ale tylko te 12 przy życiu zostały. Ósma, najmłodsza Izabella, która z miłości dostała melancholji, a później pomięszania zmysłów, lecz stan jej choroby był spokojny, siedziała cały dzień na krześle, mało mówiła, a jadała wiele. Miała lat 14 i była najpiękniejszą z sióstr, kiedy ją poznał książę de Nassau***) pokochał i obiecał się z nią ożenić. Gdy rok minął bez żadnej o nim wiadomości, zaczęła zaraz od rzeczy mówić, a później jej stan coraz więcej się pogarszał. We dwa lata książę de Nassau przejeżdżał przez Końskie i pytał o nią, ale już nie można było jej pokazać. Odwidzał ją w tej słabości każdy, kto chciał ją widzieć, a gdy wszedł do pokoju jaki mężczyzna z czarnemi, pięknemi czyma i ognistem wejrzeniem, długo wpatrywała się w niego, a potem smutnym głosem rzekła: „To nie on, a kiedy tamten przyjedzie?“ i zwykle zaraz wpadała w milczenie, które przerywała mówiąc do przychodzącego: „Daj tabaki“, bo tej bardzo wiele zażywała.

Babka moja po śmierci męża lat 20 jeszcze żyła i w 84tym roku życia swego umarła. Pani ogromnych i rozrzuconych włości, miała komisarzem miejscowym Rabkę, do posełania Fajgla i mnóstwo innych oficjalistów, oprócz tego było piechoty uzbrojonej 48 i hułanów konnych 24, których babka moja konfederatom oddała, sobie tylko sześciu ułanów zostawiając.

Komendantem tej zamkowej straży był Magnuszewski. Było także dwóch laufrów i jeden garbusek, błazen, jakich na wszystkich wielkich dworach używano. Mieli oni przywilej wszystko mówić, co im przyszło do głowy i nikt nie mógł się gniewać, kiedy jaki żarcik dowcipny przeciw niemu powiedział. Jeszcze go zastałem, ale już bardzo starego.

Babka moja była bardzo małego wzrostu; szczupła, o twarzy delikatnej i nadzwyczajnie białej, miała ręce małe i nadzwyczajnej piękności, a humor przyjemny i wesoły. Nie wyjeżdżała z domu, ale lubiła zabawy; co dzień po objedzie na spacer jeździła, to na połów ryb, to na podwieczorki i na tem koniec. Wystawiła w lasku szopkę, zwaną „gawroniec,“ gdzie kurczęta i śmietanę zjadaliśmy. Gdy już rok 10ty zacząłem, postanowiono dać mi guwernera. Właśnie pod ów czas papież Klemens XIV, Ganganelli, rozwiązał zakon Jezuitów*) na przedstawienie wielu monarchów, że ci mięszali się do spraw politycznych i intrygi sekretnie prowadzone po dworach zagranicznych robili. Zarzucano im, że pierwszy rozbiór Polski nie byłby dokonany, gdyby nie Jezuita, spowiednik cesarzowej austrjackiej, Marji Teresy. Bogobojna ta pani, gdy nie chciała przystać na propozycję Prus i Rossji, mówiąc, że to jest grabież zabierać bez wojny cudzą własność, bogobojny spowiednik skrupuł ten oddalił, mówiąc, że naród polski jest burzliwy, sąsiadów i między sobą się kłócący, że dla dobra ludzkości i zaprowadzenia porządku, ten czyn na pozór niesprawiedliwy, ale użyteczny dopełnić powinna! Rozproszeni po całej Polsce, wypędzeni z klasztorów szukali umieszczenia po domach prywatnych. Jednego więc młodego księdza nazwiskiem Rykaczewskiego rekomendowano moim rodzicom, a że o każdym Jezuicie była opinja, że posiada wszystkie nauki, więc go użyto za guwernera do mnie. Nie miał on żadnego wyobrażenia o edukacji, ale nazywał się Mentorem a mnie Telemakiem, bo widać, że nie był mu znany „Eleve“ Roussa. Posiadał on język łaciński doskonale, a że u Jezuitów uczono z Alwara więc i ja innej gramatyki nie znałem. Przyznać muszę, że w tym przedmiocie najwięcej od niego skorzystałem; uczył on mnie i po francusku, sam umiejąc tyle i wymawiając, jak u nas po prowincji i pensjach mówią. Dawał mi do tłumaczenia Millota**), mówiąc, że razem i historji się nauczę. O jego znajomości to tylko zdarzenie powiem, że gdy raz tłumacząc napotkałem wyraz „*Pretresse*“ napisałem „księżowa.“ Nie wiedząc może sam, jak poprawić, kazał mi klęczeć mówiąc, że to na pośmiewisko stanu jego zrobiłem; sam wyszedł na spacer, mnie zostawiwszy; mogłem zostać i później uklęknąć ale brzydząc się oszukaństwem czekałem jego powrotu, z jednego kolana na drugie sobie ulżywając; w dwie godziny nadszedł, kazał wstać a „księżowa“ bez poprawki pozostała, była tylko przemazana.

*) Księstwo Kurlandzkie oddał inwestyturą Stanisław August Piotrowi Bironowi d. 31. grudnia roku 1764 a w r. 1795 zrzekł się tenże swych praw na rzecz Rossji.

**) Mikołaj, Stanisław, Jacek, Antoni. — Mikołaj, starosta opoczyński, w r. 1780 woj. sieradzki, Jacek, referendarz kor. podkanclerzy, 1787 kanclerz do 1793. Stanisław (1736—1809) poseł, referendarz kor. w r. 1788 marszałek sejmu czteroletniego, w r. 1807 został prezesem Senatu. Antoni, starosta ostrołęcki w r. 1780 sekretarz wiel. kor. z Działyńską wojewodzianką malborską ożeniony; od r. 1783 woj. mazowiecki.

***) Sławny książę de Nassau, który się ożenił z Karoliną Gozdzką, rozwiedzioną z Sanguszką.

*) Zakon Jezuitów zniesiony został bullą papieską wydaną dnia 21. lipca 1773 r. nie odnoszącą się do Rossji. W Polsce po zniesieniu tego zakonu, zajmowali się szczególnie dobrami i ruchomościami pojezuickiemi smutnej pamięci Poniński Adam, Stępkowski, Młodziejowski, Massalski, Sułkowski, którzy nie tylko pieniądze lecz srebra kościelne zabierali na swój użytek, korzystając z zamięszania w kraju

**) Millot Franciszek (1726—85) historyk francuski, jezuita, potem ksiądz świecki napisał „Memoires pour servir à l' histoire de Louis XIV et de Louis XV 1777.

Miał on jednak cnoty w dozorowaniu mnie, sam czystych obyczajów pilnował, abym się z liberją nie wdawał, i nigdy sam nie biegał bez opowiedzenia się. Brat*) mój miał do siebie pijara Szostowicza, człowieka naukowego, który widząc moje zdolności ubolewał, że próżno tracę czas przy takim nauczycielu.

Straszył mnie zawsze l'Abbe Rykaczewski, że u Pijarów, gdzie był mój brat w konwikcie i mnie miano oddać, za najmniejsze przewinienie biją, a ja ostatnią karą od matki mojej, chociaż już lat 4 minęło, tak byłem przestraszony, że ze łzami prosiłem matkę, aby mnie do nich nie posyłała. Byłbym tam nierównie więcej korzystał w naukach, bo chociaż prędkiego objęcia nie miałem, ale byłem pilny i pracowity. Został więc mój guwerner aż do ukończenia szkół w Krakowie. Ojciec mój był łacinnik, często mi robił w tym języku zagadnienia, a będąc kontent z odpowiedzi chiał mi to wynagrodzić. Razu jednego mówi do mnie: „Obacz Stasiu, która godzina na zegarze;“ odpowiedziałem, że nie mam zegarka, ale to było naturalnie bez żadnej innej myśli; wzięto tę odpowiedź za dowcipne przymówienie się i ojciec zaraz kazał z Warszawy przywieść złoty zegarek, który bardzo długo chowałem. Była to pierwsza radość, której doznałem. Moi rodzice zwykle na lato odjeżdżali do Włoszczowy, a mnie w Końskich pod dozorem księdza Rykaczewskiego zostawiali.

Moja babka w lecie o 4ej rano wstawała, lubiła każdego budzić i zaraz zwidzała ogród, kuchnię i stajnię; objad bywał o 1ej, do którego zwyczajnie siadało osób przeszło 20. Stryjowie moi z żonami najczęściej tu mieszkali i razem cała familja jadała; dzieci zaś w osobnym, przybocznym pokoju pod dozorem guwernera i guwernantek. Osobny jeszcze stół był dla wszystkich dworskich i panien służących, co się zbierali w starym pałacu, o drugiej godzinie, a to dla tego, że ze stołu pańskiego lepsze przysmaczki im dosyłano.

Po objedzie jeździliśmy wszyscy na spacer, cztery pojazdy sześciokonne zachodziły. Stryj mój, Hjacinth Małachowski**), później kanclerz po Młodziejowskim darował mi ładnego konika małego z ubraniem. Była to druga radość. Jeździłem ile razy była pogoda z księdzem Rykaczewskim. Rodzice moi zwykle co kwartał posyłali guwernerowi memu złp. 300 pensji; nie wiem, czy przy tem było co przeznaczone dla mnie, bom się o to nigdy nie pytał, i tylko babka moja co miesiąc przynosiła dukata w złocie, a że bardzo lubiłem rysować, więc papier, ołówki i kopersztychy za to kupowałem, ale nigdy przed upływem miesiąca wszyskiego nie wydałem. Babka moja na Boże Narodzenie wszystkim na kolendę prezenta rozdawała; mnie przyniosła woreczek z paciorków, a w nim 10 dukatów złotem. Na tak znaczny skarb nie posiadałem się z radości; mój guwerner pozwolił mi nim rozrządzać, żądał tylko, abym wszelkie wydatki i za co zapisywał, co mnie nauczyło porządku i regularności. Kupiłem zaraz nożyk, nożyczki, ołówki w kolorach, papier cienki i rysunkowy i pudełko farb do malowania, bo lubiłem bardzo rysować i na oknie kopjowałem obrazy. Najwięcej jeźdźców na koniach, i potem kolorami cieniowałem.

Stryjowie moi lubili polowania wielkie; sproszeni sąsiedzi zjeżdżali się, lasy były ogromne, polowanie na dziki, niedźwiedzie, jelenie. Wracano na noc w sobotę do Końskich, gdzie na dziedzińcu wystawione było wielkie rusztowanie z drzewa, na którem powieszona była zwierzyna. Co tydzień bryki przywoziły po trzy a czasem więcej niedźwiedzi, dzików kilkanaście i najmniej sześć jeleni. Ledwie tam kilka sarn można było widzieć a żadnego zajęca. Zwierzyną tą pospolicie babka rozrządzała i w sąsiedztwo rozsyłała, bo moi stryjowie więcej uległości i uszanowania mieli dla swojej matki, niż dzisiejszego wieku ucywilizowana młodzież. Otóż jednego razu, jeden z myśliwych powróciwszy z polowania powiesił fuzję kulą nabitą na ścianie w moim przedpokoju. Mieszkałem na górze w jednym z pawilonów, a na dole stała panna służąca moich stryjowstwa, którzy do Radoszyc, starostwa, w którym mieszkali, na parę dni odjechali. Guwerner mnie zostawił samego; poszedłem zdjąć fuzję, a że nie miałem dosyć mocy, żeby ją podnieść, bo była ciężka, oparłem lufę o podłogę, odwodziłem kurek, ale równie nie dosięgnąwszy — ten spadając dał ognia, a kula przebiwszy podłogę i pułap padła i utknęła w podłogę o łokieć tylko od krzesła, na którem siedziała służąca. Fuzja wypadła, ja zbladłem i nieporuszony stałem z rękoma opuszczonemi. Na ten hałas przybiegł zaraz ksiądz Rykaczewski; gdy znowu lękałem się kary, jakie moje było zadziwienie, gdy ten łagodnym głosem odezwał się: „Uspokój się, to nic, to przypadek tylko o tem przed nikim nie gadaj.“ Stolarz nadszedł, w godzinę dziura była naprawiona i wszystko ucichło.

Powiedziałem, że babka moja była charakteru słodkiego i humor miała wesoły. Powszechnie była szanowana, ale się jej bali, nie tą bojaźnią surowości, ale żeby jej nie przynieść zmartwienia. Co rok na ostatnie trzy dni karnawału sprowadzała muzykę z Wielkiej Woli z klasztoru Bernardynów, i wtedy wszyscy dworscy i panny schodzili się o 5ej do sali, dawano ciasta i kawę, bo pod ów czas herbaty nie używano. Potem komisarz Rabka otwierał bal, czasem i który z moich stryjów tańcował z panną dworską. Moja babka siedziała na krześle i przypatrywała się tańcującym; o 9ej szła spać do swego pokoju, a tańcujący przenosili się do starego pałacu, gdzie była dla nich przygotowana kolacja i późno w noc tam się bawili.

Może czytającym dziwnie będzie, że tak mało o wypadkach osobistych piszę, bo same dziecinne byłyby krótkie i mniej interesujące; że nie umieszczam żadnych figlów młodości, ani wad do tego wieku przywiązanych, to nie w chęci zatajenia ich, ale oddalony od wszelkiej okazji złego postępowania, sam jeden i to pod ciągłym dozorem na wsi w Włoszczowie, najwięcej przy rodzicach zostając, którzy samotnie i skromnie żyli, nie mając żadnego wyobrażenia, że kiedyś mam być bogatym, gdyż tam każdy nie nazywał mnie inaczej, jak „pan Stanisław,“ musiałem nawyknąć do tego sposobu życia, a samotność zrobiła, żem nie był próżniakiem i stałem się pracowitym, w czem nie mam żadnej zasługi. Piszę więc z opowiadania obecnych i to, czego sam naocznym świadkiem byłem.

(C. d. n.)

*) Dziwna rzecz, że we wszystkich pismach autor pamiętnika, mało o swym bracie wspomina, i to tak pobieżnie, jakkolwiek ważną tenże odgrywał rolę. Jan Nepomucen hr. Małachowski w r. 1764, po ukończeniu szkół 18 letni chłopiec mianowany marszałkiem trybunału, kawaler orderu Orła białego, 1788 poseł do Drezna, powtóre posłował do Drezna oddając książęcą koronę Fryderykowi, mianowany marszałkiem dworu i kasztelanem, a od Aleksandra senatorem wojewodą, ożenił się z Rozalją Świdzińską, z której miał potomstwo; życiorys jego patrz Astrea, 1821 Tom I. Nr. 6.

**) Jacek Małachowski (1737—1821) starosta piotrkowski, na sejm 1776 r. poseł sandomierski, delegowany do słuchania i egzaminowania rachunków komisarzy rozdawnictwa dóbr pojezuickich, refer. kor. podkanclerzy kor. od roku 1790, w którym postąpił na kanclerstwo koronne, po Onufrym Okęckim, nie jak autor twierdzi po Młodziejowskim, bo ten w r. 1779 umarł, a po nim był jeszcze Borch do 1780 i Okęcki do 1790, poczem Małachowski do 1793. (Czarnecki.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

Mistycyzm religijny przedstawia niewyczerpane źródło różnych ciekawych objawów wpływu wyobraźni na organizm ludzki. Najdziwniejszym jednak były i są tak zwane stygmata, których początek datuje od św. Franciszka w Assizu. W „Histoire de magie par dr. Maury“ str. 349 czytamy następny opis: „Mnich ten zbliżał się już do końca życia pełnego poświęceń i powodzenia we wszystkiem co przedsięwziął. Otrzymawszy od papieża Honorjusza III potwierdzenie reguł zakonu, którego był twórcą, św. Franciszek złożył z siebie urząd jenerała zakonu w ręce Piotra Catane i oddał się zupełnie myślom o zbawieniu własnem. W tym celu oddalił się w góry Apenińskie, między Tybrem i Arno, w pobliżu Camaldoli i Vallambrosa, i osiadł na górze zwanej Alwerną, którą mu darował właściciel, bogaty patrycjusz Orlando Cataneo. Tam wolny od wszelkich obowiązków i wszelkich myśli światowych, oddał się najostrzejszemu ascetyzmowi, rozmyślając tylko nieustannie o Bogu. Od czasu do czasu święty ten człowiek wpadał w zachwyt, który go czynił coraz obojętniejszym na wszystko co było ziemskiem. Umartwienia ciała i posty następowały po sobie bez przerwy. Pomiędzy postami, które nałożył na siebie dobrowolnie, był post w ciągu czterdziestu dni dzielących Wniebowstąpienie Pańskie od dnia ś. Michała. Znękanemu postem i rozgrzanemu gorącą modlitwą zdawało się, że Bóg nakazuje otworzyć Ewangelję i przeczytać tam, co jest najprzyjemniejszem dla Stworzyciela świata. Uderzony tem widzeniem święty Franciszek podziękował Bogu i wezwał brata swego Leona, który z nim razem poszedł na pustynię. — „Otwórz mi Pismo święte“ rzekł do niego. Trzy razy księga żywota otwierała się na opisaniu męki pańskiej. Święty uważał to za rozkaz iść w ślady Zbawiciela. Wprawdzie nakazał on już milczeć ciału swemu i ukrzyżował swe myśli i pożądliwości, lecz nie oddał jeszcze ciała swego na męki, a właśnie tego żądał Bóg od niego wskazując na opowiadanie Ewangelji.“

„Od tej chwili pustelnik miał na myśli tylko jedno: ukrzyżowanie boskiego nauczyciela, ciągle więc czytał o jego męczeństwie, o jego boleściach egzaltując umysł nieustanną modlitwą, postami i rozważaniem ostatnich chwil Zbawiciela. W tym świętym zachwycie tak go pochłonęła myśl o Bogu cierpiącym, że stracił samowiedzę i przeniósł się myślą w świat nadziemski. W dzień podwyższenia krzyża pańskiego modląc się jak zwykle, zdało mu się, że widzi Serafina z sze-

ściu ognistemi skrzydłami, który spuścił się z nieba i zbliżył się do niego. Anioł trzymał między skrzydłami obraz Boga-człowieka przybitego gożdziami do krzyża. Święty patrząc z uniesieniem na ten cudowny obraz, uczuł ból w nogach, rękach i boku, następnie pojawiły się na ciele jego znaki (stigmata) podobne do ran, które były zadane Chrystusowi w czasie męki."

„Wiadomość o cudzie rozniosła się po okolicy, i poruszyła umysły chciwe nadzwyczajności. Papież uznał stygmaty św. Franciszka za dar cudowny łaski Bożej. Radość była bardzo wielka między ludźmi, szczególnie pomiędzy franciszkanami, gdyż cud ten pokazał niezmierną miłość Zbawiciela dla założyciela ich zakonu. Od tego czasu żebrzące zakony mają dwie męki: mękę Chrystusa i mękę św. Franciszka. Przełożony franciszkańskiego klasztoru w Reims, Lafranc kazał napisać na frontonie klasztoru: Deo homini et beato Francisco utrique crucifixo (Bogu człowiekowi i św. Franciszkowi obudwu ukrzyżowanym).

„Wkrótce potem inni mnisi: Filip d'Acqueria, Benedykt Reggio, Karol Sacty, Dodo z zakonu premonstrańskiego, Angelo del Paz z Perpinjanu, Mikołaj z Rawenny, Katarzyna z Sienny etc. rozmyślając nieustannie o męce Zbawiciela dostąpili podobnej łaski. Św. Katarzyna z Raconisio i niektóre inne miały stygmaty korony cierniowej na czole, lub czuły boleść od rózeg i zachowały znaki od nich na ciele. Była to prawdziwa epidemja stygmatów, która nawiedzała to jeden, to drugi klasztor w przeciągu całego piętnastego wieku. Pustelnicy w Tebach okazywali na ciele swojem czerwone i sine znaki mające pochodzić od razów zadanych przez szatana lub anioła, który ich wychłostał za grzechy. Przypomnijmy sobie, że w wiekach średnich, w wiekach czarownic i stosów podobne znaki na ciele zwane sugillationes służyły za dowód stosunków ze złemi duchami."

Przytoczywszy to opisanie i zdanie lekarza musimy dodać jednak, iż znaki te mogły powstać w skutek skorbutu lub purpura hemorrhargica, które dotykają tak często ludzi wycieńczonych nędznym pokarmem i życiem pełnem umartwień ciała.

Dr. Eliatson zebrał bardzo wiele wypadków dowodzących, że uwaga zwrócona na jakąkolwiek część ciała może wywołać ból w niej. Materjalna więc zmiana w organiźmie, może nastąpić pod wpływem przejęcia się pewną myślą. Fakt ten ma wielką doniosłość i usprawiedliwia w części przekonanie o wpływie wrażeń zewnętrznych na kobietę znajdującą się w poważnym stanie, i o związku istniejącym między temi wrażeniami a znakami znajdującemi się nieraz na ciele dziecięcia.

Wpływ wyobraźni na zmysły jest jeszcze większy. Z niej pochodzą halucynacje słuchu, wzroku, węchu, i stępienie uczucia do tego stopnia, iż wielu sfanatyzowanym modlitwą zdawało się, iż porzucili ziemię i podnieśli się w powietrze, bo klęcząc nie czuli ziemi pod sobą.

Lecz nieszczęścia i zło, które wyrządziła wyobraźnia są niczem w obec jej dobrodziejstw. Wiara jest siłą, której potęga nie ma granic i która czyni cuda. Wiara w słowo magiczne, w zamawianie, czarodziejskie manipulacje, miłośne trunki, tajemnicze liczby, talizmany, amulety, w dotknięcie króla, wieszcza, kapłana lub lekarza wracały zdrowie, a gdzie o wyleczeniu mowy być nie mogło, tam przynosiły ulgę w cierpieniu, pociechę i nadzieję.

Zajrzmy do historji rodu ludzkiego. Pirrus król Epiru miał leczyć, dotykając chorych nogą; dotknięcie ręką królewską we Francji leczyć miało skrofulicznych; egzorty przerywały konwulsyjne ataki; ręka zmarłego niszczyć miała wyrzuty skórne i t. d

Hortwig opowiada, iż pewnego razu przepisał chłopu lekarstwo na przeczyszczenie, i podając mu receptę powiedział „weź to." Włościanin po przyjściu do domu, położył się do łóżka, zjadł receptę i dostał silnego rozwolnienia, po którem wrócił do lekarza, żeby mu powiedzieć, że lekarstwo dobrze poskutkowało.

Za panowania Henryka III przyprowadzono opętaną do biskupa Amieńskiego. Biskup kazał służącemu swemu włożyć komżę, wziąć do ręki pisma Cycerona zamiast Ewangelji, i udawać egzorcyzmowanie. Djabeł nie domyślając się podstępu i nie rozumiejąc po łacinie zaczął w niej poruszać się gwałtownie, jak gdyby czuł największe męki piekielne. Od tej chwili ataki już nie powróciły i poganin Cyceron wypędził szatana tak dobrze, jak najświętszy człowiek.

U wszystkich ludów pielgrzymki do miejsc świętych dokonywają cudownych uleczeń. W Kaszmirze przechowują starannie trzy włosy z brody Mahometa; relikwja ta sprawia corocznie tysiące uzdrowień pomiędzy licznie zebranymi pielgrzymami, których wiara sprowadza dla oddania czci resztkom wielkiego proroka. Miljony Indjan zwidzają corocznie źródła Gangesu, i tysiące skąpawszy się w wodzie tej rzeki odzyskują utracone zdrowie.

W 1849 roku do kliniki Hotel Dieu w Paryżu przyniesiono dziewczynę jednastoletnią, imieniem Luisa Parquin, którą niezmierny przestrach spowodowany napadem zbrodniarza pozbawił mowy i sparaliżował wszystkie członki. W ciągu dwóch miesięcy lekarze miejscowi robili co mogli, lecz wszystko było nadaremne. Zasmucony ojciec powiózł ją do Paryża. Dziecię tyle nasłuchało się o wielkiej stolicy, o znakomitych lekarzach tam mieszkających, że przybyło do szpitala z największem zaufaniem, iż tam odzyska zdrowie. Lekarz ordynujący zanim zdecydował się na wybór sposobu leczenia, pozostawił porażoną dwa dni bez żadnego lekarstwa. Na trzeci dzień dziecko zaczęło mówić, a na czwarty wstało z łóżka. Silne wrażenie moralne odebrało jej ruch i mowę, i takież silne wrażenie wróciło jej mowę.

(C. d. n.)

IDEALISCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Przybył on tam około trzeciej popołudniu, udał się do p. Skryptowicza i oglądał panią Podwalskę. Jakkolwiek nie był specjalistą co do chorób umysłowych, sprawdził, iż staruszka ta cierpi na dziwną i dość rzadką kombinację lypemanji religijnej z takąż megalomanią, że choroba znajduje się już w dość późnym okresie, ale nadzieja wyleczenia chorej jeszcze nie jest straconą. Co do sposobu leczenia, doktor oświadczył się bezwarunkowo za oddaniem p. Podwalskiej do zakładu obłąkanych, i pomógł p. Skryptowiczowi załatwić wszystkie formalności, jakich wymagają w takich razach przepisy prawne. Jednocześnie wniósł p. Skryptowicz w imieniu pani Zameckiej prośbę do sądu, o ustanowienie p. Tadeusza kuratorem majątku jej matki na czas choroby, a o tej samej porze pani Trzecieszczakiewiczowa, pani Saalerowa, pani hrabina Miecińska i księżna Bazyliszczyna odbyły walną naradę z księdzem Stodolskim, księdzem Uleżałowskim, księdzem Piekiełką i księdzem Kriechewitzem, na której stanęło że pani Podwalska posiada jeszcze pół kamienicy i ćwierć wsi, że chciała majątek ten testamentem przekazać na cele kościoła, i że chciwy grosza jej zięć, znany jako farmazon, umyślnie wydał ją jako obłąkaną i w porozumieniu z przekupionymi doktorami zamknął ją w domu warjatów. W skutek czego, księżna pani i ksiądz Kriechewitz udali się do księdza biskupa, w deputacji, i przedłożywszy mu ten fakt do nieba o pomstę wołający, błagali go o jego interwencję u władzy świeckiej, i o udzielenie p. Podwalskiej przytułku w jakim klasztorze, dla ochronienia jej od intryg bezbożnego Zameckiego i pomocników Antychrysta, doktorów medycyny. Ksiądz biskup atoli — snać nieoświecony należycie promieniami światła niebieskiego, a przytem wielki weredyk, miał w tej mierze zupełnie inne zdanie. Oświadczył więc księżnej Bazyliszczynie, że „nie chce mieć nic do czynienia ze staremi warjatkami, i to z żadnemi a żadnemi, czy rozumie księżna pani?" — Księdzu Kriechewitzowi zaś, jako nie należącemu do płci pięknej, jeszcze tedy wyraźniej kazał „iść do *** d..... i pilnować brewiarza, a zresztą niechaj go Bóg ma w swojej opiece." Po tej naradzie, sejm walny zebrał się na nowo i wydelegowano panią Saalerowę do przełożonej Sióstr miłosierdzia, ażeby ułatwić pani Podwalskiej podanie skargi do sądu karnego na gwałt, przeciw wolności jej popełniony. Dotychczas niewiadomo, co się stało z tą skargą, mówią wszelako, że sąd po przeczytaniu jej uznał dochodzenie rzeczy jako tem samem załatwione, i nie turbował doktorów żadnemi cytacjami.

Podczas gdy w ten sposób usiłowano poruszyć niebo i ziemię przeciw rezultatowi przyspieszonego jego wyjazdu do miasta, doktor Chimerski polecił dorożkarzowi, który go miał odwieść na dworzec kolei żelaznej, ażeby go zbudził nazajutrz rano o wpół do piątej, polecił to samo portjerowi i wszystkim garsonom w hotelu, i pokrzepiwszy się wieczerzą i kilkoma kuflami piwa w towarzystwie p. Karola, o godzinie jedenastej położył się spać w błogiej nadziei, że będzie mógł przepędzić pięć i pół godziny w objęciach Morfeusza.

Tymczasem, nie udało się, bo doktor spał zaledwie cztery godziny, a o trzeciej rano zbudziło go gwałtowne kołatanie do drzwi. W najgorszym humorze wstał konsyljarz i otworzywszy drzwi, ujrzał w nich p. Skryptowicza. Gdyby doktor był mniej sennym i złym, byłby spostrzegł wielką zmianę w twarzy p. Karola. Ani trochę zwykłego w niej, satyrycznego wyrazu, ani żadnej innej rzeczy, właściwej p. Karolowi. Mina niezmiernie serjo i zafrasowana, gorączkowy jakiś pospiech w ruchach, oto objawy tej zmiany, o której mówię.

— Przepraszam, że zbudziłem tak rano, ale zaledwie mogłem doczekać się i tej godziny.... obawiałem się, by konsyliarz nie odjechał, a interes jest nagłej i nadzwyczajnej wagi.

— To chyba uciekła?

— Nie, nie chodzi tu o moją ciotkę. Czy

konsyliarz czujesz się zupełnie rozbudzonym, i w stanie zajmowania się sprawą, wymagającą całego natężenia myśli.

— Hm.... pnzyznam się, że wolałbym spać jeszcze, ale ponieważ przypuszczam, że nie budziłbyś pan mnie dla drobnostki.....

— Dla drobnostki! Idzie tu o życie najlepszego naszego wspólnego przyjaciela.

— Na miłość Boga! Czy otrzymałeś pan może jaki telegram? Czy Zamecki nie zapadł gorzej? wołał doktor, niezmiernie poruszony, i zrywając się z łóżka, w które się był położył napowrót.

— Nie. Przywiozłeś pan wczoraj list od Helenki Grodeckiej do mojej żony. Cały dzień byłem zajęty po za domem. Gdy wróciłem w nocy żona dopiero wręczyła mi to pismo. Czytaj pan.

Doktor przebiegł list szybko, potem przeczytał go drugi raz uważniej, potem namyślił się nieco i znowu począł odczytywać pojedyncze ustępy, a nakoniec, zwracając pismo p. Skryptowiczowi, zawołał:

— Ależ, panie Karolu! To nonsens oczywisty! To nie trzyma się jedno drugiego! Nie mogę pojąć, jakim sposobem człowiek tak racjonalny jak pan mógł na chwilę widzieć w tem co innego, jak tylko płód wybujałej wyobraźni, i powiem nawet, złośliwej wyobraźni!

— Czy mogę spytać, na jakich faktach opierasz pan to twierdzenie tak kategoryczne?

— Na jakich faktach! Na ośmiu latach z górą znajomości osób, o które tu chodzi, na tem, co codziennie widywałem w domu Zameckich, na świadectwie własnych moich zmysłów. Z listu tego, gdyby go na chwilę można uważać za co innego, niż za największą niedorzeczność pod słońcem, należałoby najpierw wnosić, że istnieje od dawniejszego już czasu tajemne i poufne porozumienie między panią Zamecką i panem Zgorzelskim. Otóż, mój panie, jeżli gdzie, to na wsi nie zawadzi nigdy przysłowie, że „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.“ Na tej zasadzie zapewniam pana kategorycznie, że porozumienia takiego między temi dwiema osobami nie ma, a owszem, jest niechęć aż nadto widoczna. Dalej potrzebaby przypuszczać, że pani' Zamecka jest zdolną do popełnienia czynu, leżącego na dnie tych monstrualnych domysłów, i że ma interes w jego popełnieniu. Znam ludzi, i znam bardzo dobrze panią Zamecką, i na zasadzie tej ogólnej i szczegółowej znajomości twierdzę bezwarunkowo, że pani Helena nie jest zdolną do czegoś podobnego. Energji wprawdzie, i to dość wielkiej energji nie brak w jej charakterze, ale i pod tym względem nie spostrzegłem w niej nic nadzwyczajnego, przechodzącego zwykłą miarę. Następnie, jeźli może nie kocha się w swoim mężu, to przynajmniej jest dumną z niego, i to w głębi swojej duszy. Przytem spostrzegłem, że nie będzie bigotką, bo od tego ją ponoś mąż odzwyczaił, ma głęboko wszczepione w siebie zasady religijne, niezgodne z powzięciem zbrodniczego zamiaru. Gdyby była bigotką, prędzejbym to przypuszczał, bo mogłaby ulegać przewrotnym wpływom takich np. moralistów teologicznych, jak ks. Gury. Nakoniec co się tyczy interesu — jakiż może być dla niej interes dość ważny, ażeby dla niego zdecydowała się ponieść tak wielkie ryzyko? Otrucie sinkiem potasu!.....

Tu doktor zamyślił się na chwilę, a potem, jak gdyby sam od siebie chciał odpędzić jakąś myśl logiczną, zrobił giest odpychający ręką i dodał:

— A więc, śmiej się pan z tego, panie Karolu, a przy najbliższej sposobności wytnij pan porządną reprymendę swojej pięknej siostrzenicy, i powiedz jej pan, że to się nie godzi.

— Czy pan skończyłeś?

— Skończyłem.

— No, to teraz ja będę mówił. Jestem bratem ciotecznym Heleny, od trzydziestu lat kolegą i przyjacielem Tadeusza. I Zgorzelskiego znam dawniej, a niestety i lepiej, niż pan go znasz. Odpowiedz mi pan na to pytanie: Jeżeli ja, jako brat Heleny, jako znający stosunki, o których nieprzyjemnie byłoby mi mówić w tej chwili, a których nie znasz, jeżeli tedy ja zaręczam panu słowem uczciwego człowieka, że podejrzenie wyrażone w tym liście nie jest pozbawione racjonalnej i nader prawdopodobnej podstawy, czy dasz mi pan wiarę?

— Z tą restrykcją, że możesz pan być w błędzie.

— Mówiłem o słowie uczciwego człowieka. U c z c i w y człowiek nie może być w błędzie, gdy twierdzi o swojej siostrze to, co ja twierdziłem w tej chwili, bo gdyby twierdził coś podobnego a m ó g ł być w błędzie, nie byłby uczciwym, ale infamisem. Mam pyzekonanie, że Zamecka zdolną jest powziąć i wykonać zamiar o który ją posądza Helenka, pod dwoma warunkami: musi mieć interes w tem, i musi być pewną bezkarności. Interes ma, to wiem. Co się tyczy bezkarności spostrzegam dwa fakta, które dowodzą, że wzięła się bardzo zręcznie do rzeczy. Kazała Zgorzelskiemu u k r a ś ć sinek potasu w aptece, i wyprawiła pana z Korytnicy do miasta, chociaż Bogiem a prawdą, obecność pańska tutaj nie była niezbędnie potrzebną. Czy jest drugi lekarz w Korytnicy?

— Jest stary żyd, patron chirurgji.

— Czy ma prawo poświadczać urzędownie, że ktoś zszedł z świata naturalną śmiercią?

— Ma.

— Czy na wypadek pobieżnych oględzin, takich, jakie robią zazwyczaj „patronowie chirurgji,“ a często i dyplomowani lekarze, można pomięszać symptomata śmierci wskutek otrucia sinkiem potasu, z symptomatami śmierci np. w skutek udaru sercowego albo silnego ataku astmy?

— Można.

— A więc, kto wie, czy Tadeusz będzie żył, nim zdołamy dopaść do Rymiszowa!

Mimo całej zimnej krwi, na jaką zdobył się był dotychczas p. Karol, głos zamarł mu na chwilę w piersiach. Wyraz przekonania, z jakiem wypowiedział ostatnie słowa, był dla lekarza silniejszym od poprzednich jego argumentów, którym dr. Chimerski poddawał się niejako z przymusu. Przyszedłszy nieco do siebie, p. Skryptowicz mówił dalej.

— Helenka obok instynktu, o którym mówią że jest wrodzony kobietom, jak wszystkim istotom żywym niższego rzędu, ma dziwnie jasny, bystry i logiczny umysł. Czy zdarzyło się panu kiedy czytać pismo kobiece, któreby mówiło tak wiele i tak dokładnie, w tak niewielu słowach?

— Skoro pan przypuszczasz, że list ten pisany jest na pozytywnych podstawach, a nie oparty na przywidzeniach, to zmuszony jestem wyznać, że w istocie jest niezmiernie jasnym, logicznym i zwięzłym, zwłaszcza jak na pismo kobiece.

— Otóż gdybym mógł zkądinąd powątpiewać o związku i znaczeniu przytoczonych tu szczegółów, sam fakt, że Helenka powzięła to podejrzenie, wnstarczyłby mi niestety do usunięcia wszelkiej wątpliwości. To dziwnie rozumna dziewczyna, i dziwnie energiczna! Pod względem energji, wdała się w matkę zupełnie.

— W matkę? zapytał machinalnie doktor.

— W Helenę, odpowiedział równie machinalnie p. Karol.

— Miałożby to znaczyć?....

— Tak, niestety. Wszak uważałeś pan zapewne podobieństwo!

— Ależ.... panna Grodecka nazywa pana Tadeusza ojcem, a pani Heleny nie nazywa matką!

— Nie wie, że to jest jej matka. Ta matka odepchnęła ją w niedogodnej chwili, w której na świat przyszła. Tadeusz przed ożenieniem dowiedział się o istnieniu ośmioletniej dziewczyny, zabrał ją od chłopa, u którego pasła gęsi, wychował, wyposażył, i nie pragnie niczego tak gorąco, jak żeby Helena przestała wypierać się swojej córki. Daremna nadzieja! skończył z gorżkim uśmiechem.

Doktor patrzał na niego jak senny, z rękoma konwulsyjnie ściśniętemi.

— Czy to być może?

— Jest! I czy wierzysz pan, że t a k a kobieta zdolną jest otruć kogokolwiek, byle w tem miała interes, i byle mniemała, że zbrodnia się nie wykryje?

— Wierzę.

Doktor westchnął, wymawiając to słowo, i w milczeniu uścisnął rękę p. Karola. Po chwili spytał:

— Cóż zrobimy? Pojedziemy do Rymiszowa — i cóż dalej?

— Powiedz mi pan wpierw, czy jest jakie antidotum przeciw sinkowi potasu.

P. Chimerski smutnie potrząsł głową.

— To zależy od wielkości dawki. Na nieszczęście przypomniałem sobie przed chwilą, że sam wymieniłem pani Zameckiej ilość tej trucizny, która bezwarunkowo zabić musi człowieka. Było to przy sposobności jakiegoś wypadku, o którym pisały dzienniki. Czy uwierzysz pan, że ja sam naprowadziłem ją na myśl, że śmierć spowodowana kwasem sinowodowym, ma pewne podobieństwo do śmierci wskutek udaru sercowego? Sądziłem, że rozmawiamy „akademicznie.“ Cóż teraz począć?

— Ha, byleśmy się nie spóźnili! Powiem jej, że wiem wszystko, że ostrzegłem pana i zwróciłem z drogi, zmuszę ją do poczynienia pewnych wyznań przed mężem i do opuszczenia jego domu. Tadeusz będzie złamanym, ale woli być złamanym niż nieżywym.

Jak leniwo płynęły godziny, nim nareszcie w południe, przed odejściem pociągu, doktor i p. Karol siadali do dorożki.

W tej chwili, posłaniec z telegraficznego urzędu zbliżył się do nich.

— Telegram rekomendowany, przez umyślnego! Pan Karol Skryptowicz! — Karol rozerwał kopertę i wyczytał:

„Korytnica. Obecność pańska natychmiast niezbędna. Wacław Roliński.“

— Jedź, jedź prędko! — zawołał p. Karol na dorożkarza, jak gdyby pospiech fiakra mógł przyspieszyć odejście pociągu. Z bijącem sercem obaj podróżni ruszyli do Rymiszowa, dokąd my ich wszakże wyprzedzimy. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Po tem niedługiem zboczeniu, które nam się wydało koniecznem — a tuszymy, że pobłażliwi czytelnicy łaskawie nam je przebaczą — wracamy już do osoby naszego poety. Wspomnieliśmy na czele niniejszej rozprawy, że Mieczysław Romanowski, jeszcze jako uczeń uniwersytetu, w roku 1854 wystąpił w szranki literackie i ogłaszać począł w *Nowinach* swoje utwory. Wiemy także i o tem, że od razu zwrócił niemi na siebie powszechną uwagę. Wypada nam przeto przypatrzyć się bliżej tym pierwszym jego pracom. Są one po największej części powieściowej natury, rozmiarów niezbyt wielkich, niekiedy nawet wcale drobnych. Materjał do nich czerpany widocznie z różnych źródeł: z przeszłości ojczystej, ze Wschodu, z dziejów starożytnej Hellady, nawet z samej wyobraźni poety. Z tego wszystkiego poznać łatwo pisarza, który dopiero szuka sfery najwłaściwszej swoim zdolnościom, wstępuje zatem na drogi, ale jeszcze żadnej stale się nie trzyma.

Z liczby zamieszczonych w *Nowinach*, najobszerniejszą pod względem swoich rozmiarów, choć nie najpierwszą co do czasu powieścią jest *Chorąży*; do utworów lepszych z powodu wykończenia należą *Chart Watażki i Śpiewak z oazy*. *Młody lutnista* wydaje nam się tylko chorobliwym, poronionym płodem rozognionej wyobraźni poety, a ostatni utwór w tym cyklu, *Tymoleon z Koryntu*, jest wprawdzie tylko małym, lecz wdzięcznie nakreślonym obrazkiem z dziejów Grecji.

W *Chorążym* występują na czoło opowiadania trzy postacie: starosta, pan dumny na ród swój i przodków zasługi, od śmierci żony posępny, zamknięty w starożytnym dworcu swoim, a żyjący i oddechający tylko wspomnieniami przeszłości i szczęściem jedynaczki, szesnastoletniej pięknej Marji. Trzecią osobą opowieści i głównym jej bohaterem jest młody chorąży, który jako syn przyjaciela starosty nawidza jego progi. Zdzisław, tak bowiem nazywał się chorąży, był urodziwy a pełen rycerskiego animuszu; — Marja, to jak kwiat wiosny, z pączkowych osłon wychylający się ku słonecznym blaskom. Śliczne dziewczę, nie znające świata, dotąd nie znało żadnych zawichrzeń życia i żadnych bolów:

Błogie w ogródku spędzała chwile
I błogo młoda dusza marzyła
Między kwiatami...
A jednak —
Często dziewica za czemś tęskniła;
Lecz za czem? — tego sama nie zgadnie.
I nieraz wonią róż upojona
Między kwiatami uśnie znużona
I śni... o kwiatach? — O! o czemś więcej
Zamarzył we śnie już duch dziewczęcy...
A gdy się zbudzi, sen ją uderzy,
Śmieje się, wzdycha, w sen swój nie wierzy;
I serce w łonie tęskno zapuka,
A myśl znów wątku swych marzeń szuka.

Cóż dziwnego, że wśród takich okoliczności i przy takiem usposobieniu Marja i Zdzisław się pokochali? Była to ich miłość pierwsza, więc tem goretsza. Starosta bystrem okiem spostrzegł co się święci. Podobała mu się rycerska fantazja i dzielność młodzieńca, ale rodowa duma nie dopuszczała samej myśli bliższych związków. Wprawdzie nie dał poznać Zdzisławowi zaraz w pierwszej chwili swoich animozyj. Zmarszczył tylko czoło — i czekał, co dalej będzie. Bohater naszej powieści, acz niższy urodzeniem od starosty, był także dumny, ale tą szlachetną dumą, która się wzdryga przed upokorzeniem. Łatwo więc przewidzieć koniec tych serdecznych stosunków przy naturalnym biegu rzeczy. Zdzisław dostrzegł niechęci ojca Marji ku sobie i dla tego nie odważył się wystąpić z oświadczeniem, choć serce jego tak pragnęło tego stanowczego kroku. Tymczasem rozkaz wojewody powołał go do rycerskich szeregów. Była wtedy właśnie chwila nowej potrzeby tatarskiej. Zwolna, znacząc okropnie swe ślady, posuwała się ta nawała coraz dalej w głąb kraju:

Coraz to smutniej wicher szeleści,
Coraz straszniejsze o dziczy wieści
W grozie powtarza lud przelękniony —
W dali gdzieś jękną czasami dzwony;
Pojęcza chwilę, umilkną potem ..
Tylko dym czarny mglistym pokotem
Z płonących wiosek pod niebo leci,
A w nocy łuna szkarłatna świeci.

Straszna ta burza wojenna ogarnia siedzibę starosty. Z nielicznemi siłami swojemi stanął on do boju dla odegnania wroga od strzechy ojczystej, ale walka choć uporczywa, okazała się nierówną.

Jemu i Marji nie pozostało w końcu nic innego uczynić, jeno zostawić zamek na pastwę dziczy, a samym tajemnem wyjściem dostać się na błonie, po za linję bojową, i w ucieczce na rączych koniach szukać ratunku. Plan ten w połowie wykonany, zawodzi jednak w swoim skutku. Han tatarski zobaczywszy uciekających, wysyła oddział z pogonią. Nowe niebezpieczeństwo. Już byli bliscy śmierci — w tem zjawia się w odsieczy hufiec Zdzisława i zmienia los walki. Marja i ojciec jej ocaleni, a zamek starosty oczyszczony z pohańców. Teraz dopiero, wobec uzyskanego krwią prawa do zasług, wyznaje Zdzisław swoją miłość przed ojcem Marji i zostaje przyjętym. Obrazkiem weselnej uroczystości kończy się opowiadanie.

Taka jest krótka treść tej pierwszej obszerniejszej pracy naszego poety. Nie można jej odmówić dobrych chęci, nie podobna nawet zaprzeczyć cech dramatycznych całości opowiadania; z tem wszystkiem jednak widać wszędzie, a najbardziej w wykończeniu szczegółów pióro młodzieńcze, wprawdzie rzutkie, ale niewprawne i co idzie za tem, niezdolne jeszcze kreślić obrazów z artystycznem wykończeniem. Prócz tego uderza wielkie podobieństwo tej powieści do jednego ze znanych arcydzieł poezji naszej. Mamy tu na myśli „Marję" Malczewskiego. Trudno nie przyznać, że znakomity ten utwór służył młodemu poecie za wzór w tej jego pracy. Wszakże tu i tam występują takież same typy w opowiadaniu: tam dumny Wojewoda, obrażony dokonanym mezaliansem syna swego z niższą urodzeniem córką Miecznika — tu dumny Starosta wzbraniający się aż do ostatniej chwili, także tylko dla tej samej przyczyny, zezwolić na połączenie jedynaczki z bohaterem powieści; tam rycerski Wacław — tu nie mniej rycerski Zdzisław; tam tkliwa i kochająca Marja, nieszczęśliwa żona Wacława — tu dziewczę, przywiązane namiętnie pierwszą miłością do rycerskiego młodzieńca. Tylko że u Malczewskiego te postacie, to prawdziwe, skończone w sobie typy; u naszego poety zaś tylko blade ich kopje.

Nawet drobniejsze szczegóły opowiadania naśladowane. Wojewoda u Malczewskiego zamknął się na długo w starożytnym swoim zamku, ukrywając przed oczyma ciekawych „łzy czułej rozpaczy i pychy zapału," zanim z planu wypadało mu wrócić do dawnego obyczaju „wspaniałej ochoty;" pan Starosta Romanowskiego prowadził również przez czas niemały życie samotne w swoim dworcu posępnym, nim bramy jego otworzył licznym a dostojnym gościom, spodziewa się między nimi znaleść zięcia godnego ręki ukochanej jedynaczki. W obu utworach odgrywają ważną rolę walka z dziczą tatarską. W jej przebiegu widać także dziwne podobieństwo w „Marji" i w „Chorążym." U Malczewkiego, obskoczonemu przez wrogów Wacławowi przybywa Miecznik w stanowczej chwili z odsieczą; Romanowski wprowadza tym samym kształtem swego bohatera na ratunek zagrożonej kochance i jej ojcu. Tylko rozwiązanie powieści odmienne. Poeta nasz pragnął nakreślić obraz, któryby może wprawdzie pozbawiony był silniejszego efektu, ale zato tem lepiej odpowiadał młodzieńczemu jego poglądowi na życie, podług którego największe nawet trudności przełamać się dadzą wytrwałością i poświęceniem, a człowiek staje tym sposobem szczęśliwie u mety serdecznych swych pragnień. Ztąd w całej akcji „Chorążego," prócz wielu roztrzaskanych łbów tatarskich w owej utarczce z najezdnikami, nie spotykamy się z krwawą, ani nawet w jakimkolwiek innym względzie gwałtowniejszą katastrofą; a zwycięzki młodzieniec, któremu tak do twarzy było z tą szramą od szabli wroga, poślubia panię swego serca.

Wspominamy szczegółowiej o tem nieprzypadkowem wcale podobieństwie „Chorążego" do „Marji" dla tej głównie przyczyny, ażeby usprawiedliwić się z tego, cośmy wyżej powiedzieli że nasz poeta w tym pierwszym okresie twórczej swojej pracy poszukiwał dopiero właściwej drogi, ale jeszcze od razu jej nie znalazł. Wpatrywał on się w ten lub ów wzór, wtajemniczał w piękności tego lub owego arcydzieła, ale jeszcze samodzielnie nie tworzył, lecz odtwarzał mniej lub więcej szczęśliwie, z większą lub mniejszą zawisłością. Nie można z tego robić zarzutu młodemu poecie; jest to cechą wszystkich prawie talentów, a tylko genjuszom dano wytyczać od razu nowe szlaki. W „Chorążym" Romanowskiego widać więc wczytanie się w „Marję;" w innych jego utworach, o których wspomnieliśmy, a nawet i w tych, o których nam przyjdzie obszerniej pomówić, dostrzedzby można wczytanie się w inne jeszcze wzory poetyckie, mianowicie w utwory Juljusza Słowackiego, a przedewszystkiem Adama Mickiewicza. Nie można powiedzieć, ażeby nasz poeta był niewolniczym tych mistrzów naśladowcą, a nawet ażeby był nim do tego stopnia, jak się to okazało w rozpatrzonej dopiero opowieści; ale niepodobna przecież zaprzeczyć, że i w dalszych pracach poetycznych Romanowskiego przebijają się tu i ówdzie reminiscencje studjowanych wzorów, że się przypominają czasem także znane zkąd inąd rysy.

(C. d. n.)

Indjanka.

Na wyspie Indyjskiej noc cicha zapadła,
I tylko na szybie morskiego zwierciadła
Błyszczała pochodnia księżyca.
Nad morzem dwie ciemne stanęły postacie:
Syn zimnej Północy jak widać po szacie,
I piękna Indyjska dziewica.

On z jasnem obliczem w milczeniu głębokiem
To w falach błyszczącem zatapiał się okiem,
To w masztach pięknego okrętu—
A włosów Indjanki połysne pierścienie
Spadały na oczy, co martwe wejrzenie
Utkwiły w bałwany odmętu!

I stała przez chwilę, jak piękny niewieści,
Przez Greka wykuty ów posąg boleści
Na wszystko nieczuły, umarły—
Lecz kiedy na okręt rzuciła spojrzeniem,
Łzy z ócz się gorącym polały strumieniem,
A z ust się te słowa wydarły:

„— O powiedz, mi powiedz, czy w twojej krainie
Piękninjszy tam księżyc po niebiosach płynie,
Nadobniej czy świecą tam gwiazdy?
Czy słońce cieplejsze, czy wody jaśniejsze,
Śpiew ptasząt dźwięczniejszy, powietrze czy lżejsze,
Że nie chcesz powstrzymać swej jazdy?

Mnie miłe te gwiazdy, ten księżyc, te wody,
Bom ja tu wśród lasów spędziła wiek młody,
Bo kraj ten mą ziemią rodzinną!
Swobodna, wpół dzika, nim ciebie poznałam,
Wśród wyspy tej lasów jak ptaszę bujałam,
Swawolną, spokojną, niewinną!

Tyś kształcił mą duszę! Tyś dzikiej dziewczynie
Świat inny ukazał — dlategoż jedynie
By teraz bez czucia, bez duszy,
Jak kwiatek dla płochej rozrywki zerwany,
Zostawić samotną z dzikimi Indjany?
O! niech cię ma rozpacz poruszy!

O zostań tu ze mną! Świat obcy, daleki,
Co z wiernem cię sercem rozłącza na wieki
Nagrodzić tej straty nie zdoła!
Tchem mroźnym cię zziębi, a wieniec tej sławy,
Dla której mnie rzucasz, zostawi ślad krwawy,
Cierniami ci wrośnie do czoła!

O! gdyby to święta tęsknota wszechwładna
Do twojej ojczyzny, nie sławy chęć zdradna,
Ku złudzie tej niosła cię świetnej!
O wtenczas bym może dla twojej miłości
Rzuciła tę wyspę, wspomnienia młodości,
Ufając twej duszy szlachetnej!“

„— Stój! dosyć wyrzutów!“ — młodzieniec zawoła;
„Mnie skarga kobiety powstrzymać nie zdoła,
Zaprzestań mych marzeń zdrój męcić!
Mnie w dali czekają oklaski! wawrzyny!
Nie zdołam więc płocho dla jednej dziewczyny
Przyszłości i sławy poświęcić!

Mnie świat w swe szerokie przyzywa objęcia...
I jażbym szalony dla łezki dziecięcia
W Indyjskiej zamieszkał pustyni?
Dziewczyno! ja ciebie gorąco kochałem,
Lecz sławę goręcej, z ognistszym zapałem,
Bo ona mnie wielkim uczyni!“

Słuchała Indjanka spokojnie, bez ruchu,
Jak gdyby jej życie skupiło się w słuchu,
Milcząca jak kamień grobowy...
Lecz kiedy zamilknął, z jej łzawej źrenicy
Padł piorun ognisty, a w dłoni dziewicy
Zabłysnął puginał stalowy.

„— Ha! znam cię już teraz!“ — zajękła namiętnie;
„Jak motyl ku blaskom co świecą ponętnie
Od wrażeń do wrażeń przelatasz!
Pod stopą zuchwałą w szalonym swym biegu
Nie bacząc, czy uschły tu listek na brzegu,
Czy serce bijące rozgniatasz!

Lecz miłość kobiety z pod strefy słonecznej,
Nie ognik to błędny — o! płomień to wieczny,
Bezwzględna niszcząca potęga,
Na którą gdy targnie się płochość, lub zdrada,
To budzi się zemsta, to wtenczas — o biada!
Śmierć tylko ten węzeł rozprzęga!“

I zanim mógł jeszcze jej słowa zrozumieć,
I nagłym, gwałtownym jej gniewem się zdumieć,
Już ostrzem żelaza przeszyty
Bez słowa, bez jęku padł martwy i blady
Na piaski nadbrzeżne, krwią znacząc swe ślady,
Przy nogach Indyjskiej kobiety!

A ona wzrok błędny rzucając dokoła,
Nad trupem kochanka rozpacznie zawoła:
„Nie sława mi ciebie wydarła,
Lecz zemsta, lecz tryumf zdradzonej kochanki!“
Wybuchła w śmiech głuchy, w śmiech dziki Indjanki,
I morska toń nad nią się zwarła...

Maj 1874.

Marja B.

Pogadanki.

I.

Dobiega kresu rok, a z nim połowa drugiej połowy stulecia. Jeszcze dwadzieścia pięć długich zim, krótkich wiosen, chłodnych lat i mroźnych jesieni, a wiek dwudziesty spoglądnie na nas jak młody tytan na kościanego dziadka; jeszcze dwadzieścia pięć takich rocznic jak dzisiejsza, a będziemy już tylko może przedmiotem historycznych i archeologicznych studjów! Szczególne uczucie owłada człowieka, jeżeli pomyśli, że może dożyć tego czasu, z jednego piątra wieczności zajrzeć na drugie, i być powitanym jako sędziwy i szanowny zabytek ubiegłego wieku. To pewna, że my, co dzisiaj napełniamy świat naszym ruchem i gwarem, albo też względnie naszem chrapaniem i stękaniem, zupełnie żywi nie przekroczymy tego progu. Przeżyjemy się wszyscy, do tej pory, i jakoś przy najszczerszej chęci mówienia ludziom samych tylko przyjemnych rzeczy w dzień Nowego Roku, rzuciwszy w koło wzrokiem, nie mogę nigdzie dojrzeć zadatków nieśmiertelności, czyli dokładniej mówiąc, niespożytości. Przeżyjemy się wszyscy, i niejedno przeżyje się wraz z nami, co dzisiaj wydaje się pełnem siły, lub siłą samą. Radbym też wiedzieć, czy będzie kto wówczas pisywał „Pogadanki,“ i kto? I kto je będzie czytał? Córka, może wnuczka, lub prawnuczka szanownej czytelniczki dobrodziejki! Synowie dzisiejszych wieszczów narodu... nie, nie synowie, bratankowie ich i inni spadkobiercy nieboraki! Ale mniejsza o to, to nie wpłynie na stan tegorocznej prenumeraty, i w ogóle mało komu zależy zapewne na tem, co będzie po dwudziestu pięciu latach, byle zdrów dożył roku 1900 wraz z tem wszystkiem, co mu drogie i miłe, i z większym niż dzisiaj kapitałem. Tego też każdemu *Tydzień* nie z papierowego,, ale z literackiego, artystycznego, społecznego itd. serca swojego życzy w dzień Nowego Roku! A ponieważ powinszowanie tego rodzaju nie może być wystosowane specjalnie do nikogo, więc samo przez się zwraca się ono do ogółu, do *naszego ogółu*, któremu oby lepsza dola błysła nim drugi raz wróci do nas słońce!

* * *

Jeżeli się rozpatrzymy w ćwierć-wieczu 1850 — 1875, spostrzeżemy, że wypadki toczyły się w nim prawie tak szybkim biegiem, jak w pierwszym okresie, 1800 — 1825, a szybszym, niż w latach 1825 — 1850. Trzy wielkie wojny zmieniły nie do poznania fizjonomję Europy; kilka mniejszych zadało jej także bolesne i głębokie rany. Galicja była jedną z tych niewielu krain, w których przez cały ten przeciąg czasu nie strzelano prawie kulami, jak tylko do niedźwiedzi i do odyńców, bo bitwy pod Oświęcimem w r. 1866 nie ma co liczyć — ale za to o miedzę od nas lała się krew, i to najdroższa, nasza własna. Przeobraziły się wśród tego warunki lądowej i morskiej potęgi państw — najznakomitszy taktyk, najdzielniejszy admirał z r. 1850 byłby w równym ambarasie, jak Hannibal albo Regulus, gdyby mu kazano dowodzić dzisiejszą armją lub flotą. Europa pokryła się, jak siatką pajęczą, linjami kolei żelaznych i telegrafów Z Krakowa do Czerniowiec jechało się w r 1850 trzy doby i 8 godzin, jeżeli kto wytrzymał cały ten czas w szybkowozie — dzisiaj w 16 godzinach można zajechać tak daleko, albo i dalej, na tamten świat, jeżeli pociąg z szyn wyskoczy. O gazie wiedziano tylko z opowiadań wojażerów, a nawet naftę, którą mieliśmy pod nosem, poznaliśmy dopiero w tym okresie czasu. *Gazeta* urzędowa we Lwowie, a *Czas* w Krakowie, były w r. 1850 jedynemi publikacjami perjodycznemi w Galicji. Kto nosił brodę, albo długie włosy, mógł być pewnym, że prędzej lub później dostanie się do kozy. Wolność posiadania dwóch dubeltówek była dla myśliwych ideałem tak niedoścignionym, jak dziś dla dziennikarzy wolność od stępla. Zbrodniarzy sądzono w ten sposób, że z zamkniętymi przeprowadzano śledztwo, a później wydawano wyrok zaocznie, bez rozprawy jawnej, bez obrony. Cyrkuły i mandatariaty kwitły jeszcze i prosperowały — „komisarz“ o sześć mil od Żółkwi albo od Brzeżan był istotą, której władza zbliżała się do półboskiej. Kto miał sąsiada o dwie mile, nie mógł go odwidzić bez paszportu, bo po drodze czyhał żandarm w błyszczącym hełmie, zaopatrzony w najzupełniejsze *jus gladii* nad całą nieumundurowaną ludzkością. Epidemicznie, od czasu do czasu, pojawiał się cień Bema lub Koszuta, to w Bolechowie, to w Krystynopolu, to znowu aż w Kossowie, i straszył tych groźnych światowładców. Dziennik wiedeński z Wtorku, był w Sobotę we Lwowie źródłem najświeższych nowin, ale pożal się Boże tego, o czem donosił.

Teraz wszystko robi się prędzej i lepiej — tylko pisać, pisze się w prawdzie także prędzej, ale stanowczo gorzej. Mianowicie w dziedzinie nadobnego piśmiennictwa, opłakują wszystkie narody stratę największych swoich genjuszów i talentów. Jedna Francja ma jeszcze swojego Wiktora Hugo, ale pytanie nierostrzygnięte, czyli on właśnie nie jest głównym reprezentantem degeneracji sztuki pisarskiej, i głównym w tej mierze winowajcą. Nam brakło w tym okresie Mickiewicza, Krasińskiego i Pola, brakło Szajnochy i Korzeniowskiego, inni postarzeli się, a nikt nie wyrósł i nie zmężniał na ich miejsce. Stosunkowo gorzej jeszcze, ze względu na ich liczbę, powodzi się Niemcom w tym kinrunku. Włochom zgasła pierwszorzędna gwiazda w Manzonim. W Anglji lord Lytton, Thackeray, Dickens zamilkli na zawsze, a jeden rzut oka na nowsze wydania Tauchnitza wystarcza ażeby się przekonać, że i tamtejsza beletrystyka ma się ku nadirowi raczej, niż ku zenitowi. W ogóle, wszedlszy do księgarni, i uparłszy się, ażeby koniecznie dostać coś nowego a godnego czytania z tego działu piśmiennictwa, można być srodze rozczarowanym.

W poezji, dzikie wykrzykniki, górnolotne a puste frazesy, ckliwe lamenta i chorobliwe halucynacje, w formie niepięknej, z umysłu zaniedbanej, rozczochranej i nieumytej. Poeci chwytają się przedmiotów, które nikogo nie obchodzą, albo które nie znoszą poetycznego traktowania. W powieściach, jedni pragnęliby iść za wielkiemi wzorami angielskiemi, zająć czytelnika trafną charakterystyką figur, ujmującem przedstawieniem rzeczy i wypadków powszednich, i udaje im się tylko — nudzić. Drudzy wpadają w przeciwną ostateczność, i opowiadają w całych tomach niezwykłe zdarzenia, które można czytać opisane króciej w drobnych wiadomościach każdego dziennika, z równem zajęciem — bo jak tutaj nie znamy bohaterów, tak i tam autor nie umie czy nie ma czasu poznajomić nas z nimi. A wszystkiemu temu nikt nie winien, tylko szanowna publiczność, która podróżując, odbierając listy i nowiny, i widząc wszystko poruszające się z większą szybkością, chciałaby ten sam pospiech nakazać powstawaniu arcydzieł, i codzień domaga się czegoś nowego, podczas gdy starsze ale wyborne rzeczy, pył okrywa na półkach księgarskich. Czy „Pogadanka" niniejsza nie znajduje się przypadkiem w tej chwili w kółku, złożonem z kilku osób liczących od 25 do 35 lat wieku? Jeżeli tak, niechaj się państwo zapytają siebie nawzajem, kto z was czytał powieści Walter Skota? Jak to, nikt? Ha, to proszę je przeczytać, ręczę, że się nie postarzały — tylko na nieszczęście nie dostanie ich w przekładzie polskim, jak chyba u antykwarza, albo w bibljotece. Mógłbym wyliczyć cały szereg znakomitych utworów, których już nikt nie czytuje, z powodu że Autor ich umarł jeszcze przed laty, i nie ma komu robić mu reklamy, podczas gdy jego epigonów wszystkie trąby współczesnej famy wskazują jako najbardziej uwagi godnych pisarzy.

Po części wszakże rozpoczęła się już reakcja przeciw temu gonieniu za nowościami literackiemi; świadczą o tem wymownie mnożące się wydania zbiorowe dzieł starszych pisarzy. I tak, w przeciągu nie wielu lat, nie wspominając już o poetach, doczekaliśmy się wydania dzieł Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego Dzierzkowskiego, a teraz Jeża. Z czasem zapewne wydawcy odświeżą nam w pamięci i dzieła obcych pisarzy, które każdy czytać i znać powinien, w dobrych przekładach polskich. My młodsi mamy do dyspozycji odcinki dzienników, a przeszedłszy przez ich ogniową próbę, bodaj czy nie uleżymy się na półkach dłużej od starych, albo i na zawsze.

Zmuszony wszakże jestem pohamować tutaj gadatliwość „Pogadanki", która dorwawszy się literackiego przedmiotu, gotowa przedłużyć się aż na okładkę, na której zwykle figurują inseraty. Chciałem tylko szanownemu czytelnikowi dać radę, ażeby najpierw w tym Nowym Roku zachodził jak najczęściej do księgarni, a potem, ażeby nie koniecznie zawsze domagał się czegoś nowego, ale kupował także i trochę starsze książki. Zresztą, ponieważ nim wpadłem na ten nieszczęsny temat, zacząłem od rzutu oka w przeszłość, nie pozostaje mi jeszcze jak tylko skonstatować, że rok 1875 był może najmniej obfitym w wypadki w ubiegłej ćwierci stulecia. Wlókł się powoli dla młodych, przeleciał szybko dla starych. — Czy szanowny czytelnik nie uważał, że każdy rok późniejszy bywa krótszym od poprzedniego. Aż nakoniec, przyjdzie jeden najkrótszy, i dowiemy sią, czy papież jest nieomylnym, i czy nasi przodkowie bardzo żałują tego, że pomarli przed nami......

* * *

Teraz wypada nam jeszcze pomówić o wielkim kłopocie, który z pierwszym brzaskiem 1. Stycznia 1876 oczekuje każdego Galicjanina i każdą Galicjankę. Z uderzeniem dwunastej, całe mnóstwo dawnych znajomych naszych pochłonęła na wieki toń niepamięci — witają nas nowe, nieswojskie figury. Funt, łokieć, łut, sążeń, korzec, garniec, wszystko to przestało istnieć, rozpoczyna się panowanie kilogramów, metrów (ale nie fortepjanu, Bogu dzięki) hektolitrów itd. Zamiast dwóch mil ujedziemy mniej więcej piętnaście kilometrów, a to nieszczęsne „mniej więcej" spotykać nas będzie odtąd na każdym kroku. Jedna tylko starodawna *kwarta* polska wraca do dawniejszego swojego znaczenia, odpowiada ona bowiem tak dalece „mniej więcej" *litrowi*, że można jej śmiało przyznać tożsamość z tą francuską miarą. Ztąd wygoda dla gospodyń i dla gospodarzy, bo i dla nich hektolitr zboża odpowiadać będzie 25 garncom, czyli „mniej więcej" trzem *ćwierciom* podolskim. Z kilogramem już większa bieda. Wynosi on dwa funty cłowe, to jest większe od polskich, a mniejsze od wiedeńskich. Pojęcie *łuta* zaginie zupełnie. Ktoby też biedził się z takiemi ułamkami, jak $17\frac{6}{7}$ a tyle właśnie *gramów* idzie na łut wiedeński, podczas gdy na polski potrzeba $13\frac{1}{8}$ grama. Ale to fraszka w porównaniu z miarą długości. Metr ma niespełna półtora łokcia wiedeńskiego, i niespełna dwa polskie, a kto nie uważa na to „niespełna", ten kupując sztukę płótna lub kilkanaście „łokci" materji na suknię, może się pomylić o jeden, dwa i trzy takie łokcie. Należy przytem zwrócić uwagę, że u nas i pojęcia dawnych miar i wag były zawsze bardzo niepewne i pomięszane, do czego się panowie kupcy, zwłaszcza bławatni, według sił swoich przyczyniali. Wiem z własnego doświadczenia, że w pierwszorzędnych handlach lwowskich obliczano cenę na łokcie wiedeńskie, a mierzono materję łokciem polskim. Zaprowadzenie przymusowe metra położy tamę takim nadużyciom, i w ogóle zaprowadzenie wag i miar francuskich ustali raz przecie nasze wyobrażenia o objętości, długości i wadze ciał — wyobrażenia nader dowolne, zwłaszcza u płci pięknej. Matematycy twierdzą, że Polka wynalazła to, o czem im się nie śniło, a mianowicie ona to miała wynaleść, że istnieje większa i mniejsza — „połowa". Odkrycie nie było trudne, potrzeba było tylko zastosować do matematyki zwykłą praktykę matrymonialną, w której Polka najczęściej bywa w i ę k s z ą połową — nie jakoby mężulkowie bywali karłami lekkimi jak piórko, owszem, nie brakuje im nic w długość i w szerokość, ale....no, ale państwo już wiecie, co chcę powiedzieć. Swoją drogą, czeka nas mała desperacja gramatyczna z rodzajowaniem i deklinowaniem rozmaitych kilo, hekta, i deka, będziemy mieli „ten litr", „tę litrę", i „to litro", *ad libitum*, a jakim sposobem pan Antoni doliczy się drogi ze swojej Karmanówki do miasteczka powiatowego, tego dalipan nie wiem, wiem tylko, że jest w i ę c e j n i ż p i ę ć kilometrów, podczas gdy u pana Antoniego wszystko po nad trzy jest — *X*. W podobnym ambarasie będzie także buchhalterja Wydziału krajowego w jednym z austryjackich krajów koronnych.

Ej, co tam!

„Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podług sił!"

Pomieniona władza trzyma się tych wieszczych słów wielkiego Adama, ale stosuje je fałszywie, nie dwa ostatnie bowiem, lecz dwa pierwsze wiersze odnoszą się do niej. Na nieszczęście, ta sama pomyłka wydarza się także „naszym" rozmaitym znakomitościom w tym i w owym zawodzie. Na dowód wszakże, że i dwa ostatnie wiersze można ilustrować jawnym przykładem, powziąłem z a m i a r odłożyć pióro na dzisiaj, i zobaczymy zaraz, czy nie braknie s i ł y po temu. Wprzód atoli, na północ i na południe, na wschód i na zachód —

„So weit der Scepter meiner Ahnen reicht,
So weit die Schiffahrt meine Flaggen führt,

to jest, jak daleko poczta rozwozi *Tydzień*, wszem wobec i każdemu z osobna:

Dosiego roku!

Jan Lam.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

VIII.

Gady i płazy.

„L' organisation est la conséquence d'une loi organogénique, qui préexiste d'apres une idée préconçue." *Claude Bernard.*

Do niedawna zoolog *gadów*, *skrzeków* (Amphibia) od *płazów* (Reptilia) nie odróżniał, oba te działy do gadów albo ziemnowodnych zaliczając zwierząt; a choć dotąd z potocznej mowy często zauważyć się daje, że obydwa za jednobrzmiące są przyjmowane, to jednak nauka ściśle je od siebie odróżnia.

Gdy płazów skóra zwykle tarczami lub łuską okryta, gady mają ją częściej nagą i wilgotną, serce o dwóch niezupełnie rozdzielonych przedsionkach i komórkach, to gady dwa przedsionki a jednę komórkę posiadają. Sposób przychodzenia na świat jest tu także charakterystyczną cechą. Skrzeków młode różnią się od rodziców i dopiero później, uległszy przeobrażeniu czyli metamorfozie, stają się im podobnemi; są one bowiem przeznaczone z początku swego życia do przebywania w wodzie, i ztąd opatrzone skrzelami w miejsce płuc, które z wiekiem dopiero na płuca zamieniają. U jednych i u drugich jest krew zimna, czerwona, a obieg jej niezupełny tak, iż żylna z tętniczą się miesza; wzrost ich powolny, a życie wytrwałe. Lecz nie dziwmy się ludziom, którzy z przyrodą mało do czynienia mają, iż wpadają w błąd taki w klasyfikacji, kiedy przyrodnicy sami w systematyce ustrojów w ogóle dotąd jeszcze nie zawsze są pewni swych twierdzeń. Pomiędzy rybami (pisces) i skrzekami (amphibia) istnieje pośrodku zajmująca gromada *skrzekorybów*, czyli *płucoskrzelnych* (Dipneusta, albo protopteri.) Przedstawiciele jej są nieliczni, a mianowicie *łuszczak dziwaczny* (Lepidosiren paradoxa), brunatny w jaśniejsze plamy, żyjący w bagnach i przekopach Amazonki i *afrykański skrzelak* (Protopterus annectens) z rzeki Gambji. W suchych porach roku zakopują się te dziwne zwierzęta w wyschłym mule, a urządziwszy w nim sobie gniazdo z liści, oddychają powietrzem za pomocą płuc jak skrzeki, w zimie zaś, żyjąc w rzekach i bagnach, na wzór ryb oddychają wodą za pomocą skrzeli.

Zewnątrz podobne do węgorza, a i wewnętrzną budową kośćca bliższe ryb jak skrzeków, lecz za to płuca, nos i serce ich więcej zbliżone do skrzeków. Są znakomici zoolodzy, którzy zaliczają je do ryb (Nowicki w Krakowie), są, co chcą w nich widzieć skrzeki. Naszem zaś zdaniem najrozsądniej uczynimy, jeżeli za Häckla idąc radą, zamieścimy je w osobnej gromadzie kręgowców, która przechodnią stanowić będzie formę między dwiema temi gromadami. Są to tylko prawdopodobnie ostatnie resztki dawniej obfitej w kształty grupy, a że kościec ich tylko w części skostniały, nie można też znaleść skamieniałych śladów ich protoplastów.

Im bliżej ku północnemu zbliżamy się biegunowi, tem mniejsza obfitość tych dwóch gromad zimnokrwistych zwierząt-skrzeków i płazów, tak, iż w krainach podbiegunowych prawie zupełnie dostrzedz ich nie można, gdy tymczasem liczne są bardzo w podzwrotnikowych okolicach. Przyczynę tego zjawiska przypisać należy niedoskonałość ich krwi obiegu, niedostatecznemu jej utlenianiu w przyrządzie oddechowym. U zwierząt tych nie tak jak u ciepłokrwistych, u których wszystka krew po całem ciele krąży, lecz tylko, jak już wspomnieliśmy, pewna jej część, a ztąd przez proces oddychania nie może być zupełnie ogrzaną. A i sam proces oddychania jest u nich przez to słaby, może nawet przez dłuższy czas w zawieszeniu pozostać, bez przerwania jednak biegu życia zwierzęcia. Żaby, salamandry, żółwie morskie, mogą całemi dniami zanurzone pod wodą, lub w błocie zagłębione, bez szkody dla zdrowia przebywać, a im zimniejsza jest atmosfera, tem dłużej w takich warunkach bytu pozostają — na wpół odrętwiałe, prawie bez życia. Sen zimowy naszych żab, w którym pogrążone, zakopawszy się w ziemię, leżą bez ruchu i czucia, oczywistym jest tego dowodem. To też niedołężność tych zwierząt i zupełne prawie wyniknienie w zimnych strefach naszego globu tej tylko naturalnej ich zimnokrwistości przypisać można.

To powolne skrzeków i płazów oddychanie, to zimno ich krwi, jest również długości ich życia przyczyną. Ciało ich nie wyczerpuje swych sił, nie niszczy tak prędko swej materji, gdyż życie mniej czynne, mniej gwałtowne. To też sprawiedliwie był wąż u Greków, Egipcjan i Meksykanów godłem wieczności lub czasu. Wszystkie te zwierzęta jedzą mało, przez co wzrost ich powolny, a mało jedzą również dla tego, że życie ich nieczynne, że krew się nie utlenia energicznie, że mało się zużywa. Wszystkie nie cierpiąc pragnienia, wcale nie piją, gdyż skóra ich wciągając w siebie z powietrzem wilgoć, służy za dopełnienie często skarłowaciałych płuc. U wężów n. p. jedna tylko połowa płuc jest rozwiniętą, drugiej szczątek tylko pozostał, wcale w czynności oddychania nie mając udziału.

Wszystkie zimnokrwiste zwierzęta prawie powszechny wzbudzają wstręt i odrazę, niektóre nawet obawę i strach, a ztąd nienawiść, której wiele gatunków padło ofiarą, tak, iż dziś śladu po nich nie pozostało, lub przetrzebione przed wzrokiem ludzi i zwierząt ukrywać się muszą, by nie uledz nieubłaganej ich srogości — nie wyginąć ostatecznie! Lecz czy uzasadniony jest ten wstręt, czy zawsze ta nienawiść jest zasłużoną karą, na to później odpowiemy, obecnie chcemy przedstawić kilka uległych zniszczeniu tej gromady zwierząt. Nie wyglaszamy zdania, aby li nienawiść niezasłużona, aby złość i niepohamowana żądza niszczenia, była przyczyną zniknięcia z powierzchni ziemi tych niegdyś licznych na niej gatunków ziemnowodnych zwierząt, owszem najprawdopodobniej wszystkie warunki dla bytu tych zwierząt nieprzyjaźne, na ich zagładę się skupiły.

Znane z licznych i dobrze przechowanych skamieniałości, *jaszczury* (Halisauria s. Enaliosauria albo Nexipoda), straszne drapieżce drugorzędnego okresu, które w olbrzymiej ilości i w najdziwaczniejszych kształtach, często 40 stóp długości dosięgając, zaludniały mezolityczne morza a zazwyczaj do płazów (reptilia) zaliczane, są pierwszemi tej grupy przedstawicielami. Nowsi anatomowie jak Gegenbaur, Häckel i inni mieszczą je w dziale niższego stopnia ustrojowości, zupełnie odosobnionej grupy od płazów, skrzeków i ryb — w dziale, który wspólnie ze skrzekorybami oddzieliwszy się od *ryb pierwotnych* (Selachii), od dziś żyjących rekinów i raji, od dziwacznych *przeraz* (Chimaeracei albo Holocephali), osobną stanowi linję. Osobniki jej posiadały cztery odnoża w kształcie krótkich lecz szerokich wiosłowatych płetw, podobnych do płetw ryb i wielorybów, a uważają się jak również trzy wyższe gromady kręgowców, jako pochodne od jednej wspólnej rodowej formy, która posiadała u każdego odnoża po pięć palców. Jaszczury, które z pozostawionych po sobie odcisków tak całego ciała, jak pojedyńczych jego części, na tyle poznajomiły nas z budową swoją, że z całą dokładnością możemy utrzymywać, iż posiadały zupełnie rozwiniętych lub w zarysie więcej jak pięć palców, że oddychały powietrzem za pomocą płuc, tak jak skrzekoryby, pomimo, iż żyły w wodzie — jaszczury dziś wcale nie istnieją, a wymarłe rozpadały się na trzy nie zbyt różniące się między sobą rzędy: *Pierwo-jaszczury* (Simosauria) tryjasowego perjodu, *wężo-jaszczury* (Plesiosauria) podobne do pierwszych i również wspólnie z tamtemi w jurajskim i kredowym perjodzie żyły, i *rybo-jaszczury* (Ichtyosauria). A wszystkie powstały z *ryb pierwotnych* (setlachii), bądź pośrednio, bądź bezpośrednio. Z żyjących po dziś dzień okazów tej wielkiej gromady zwierząt kręgowych jest wprawdzie wiele takich, przed któremi bojaźń i wstręt są naturalnym wynikiem instynktu, tej bezwiednej władzy, która zarówno bezmyślnemu zwierzęciu jak rozumem obdarzonemu pewne wskazówki daje, w uczuciowych ich czynach, lecz są także takie, których bezpodstawny tylko przesąd ludzki każe unikać, bać się i brzydzić. Starożytni nie powodowali się tak przesądem w tym względzie jak późniejsze ludzi pokolenia. Wszak matka Ewa uwiedzioną być miała przez chytrego węża, wiele narodów dotąd pozostających bez wpływu oświaty, czci węża jako bóstwo swoje domowe, one u starożytnych były godłem bogini zdrowia — Hygji, one otaczały kij Eskulapjusza w Epidaurze, one były znamieniem roztropności i wiecznego życia, za cóż dzisiaj mamy je prześladować, wstręt i odrazę czuć do nich, gdy nic nam nie zawiniły? Tysiące zaś anegdot, które o szkodliwości *jaszczurów* (Lacertidae) *legwanów* (Iguanae), o czarodziejskim wpływie spojrzenia *wężów* (Serpentes s. Ophidii) *bazyliszków* (basilicus), *ropuch* (bufonidae), *trytonów* czyli: *traszek* (Triton taeniatus, eristatus, ignrus) i t. p. z ust do ust przechodzą, w bujnej fantazji starożytnych swój początek biorą i żadnej naukowej nie mają podstawy. Wstręt jednak do niektórych tych zwierząt jest wrodzony. Wiadomo, że wiele zwierząt od wężów ucieka, nie mając do tego żadnej przyczyny, lecz aby instynktowy ten czyn, dla tego, że jest bezwiednym, naturalnym, miał być uzasadnionym i zachowawczym, jak niektórzy utrzymują, zgodzić się nie możemy. Wiele jest czynów instynktowych, które wykonywającym je zwierzętom są nawet szkodliwe, tu zaś mamy do czynienia z bezcelowym tylko.

Niektóre z płazów (Reptilia s. Pholidota, także Sauria w najobszerniejszem znaczeniu) nadewszystko gorących krajów mieszkańcy, dochodzą ogromnego wzrostu, nie wszystkie jednak pomimo ogromu są niebezpiecznemi. I tak misjonarz Labat nad brzegami wysp Antylskich widział *żółwie morskie* (Chelonia) tak wielkie, iż czternastu ludzi razem stanąć mogło na ich puklerzu, a stu z ugotowanego we własnej skorupie zwierzęcia obfitą miało ucztę. Prawdopodobnie był to *żółw midas* (chelone mydas), który i w Atlantyckim oceanie bliżej brzegów Afryki dochodzi ośmiu stóp długości, a waży często przeszło jedenaście centnarów. Jest to zwierzę bardzo powolne i łagodne, żywiące się po większej części morskiemi roślinami, oczarami i t. p., wodnemi owadami, a rzadko kiedy rybami. Łowią je dla smacznego mięsa, dla tłuszczu i skorupy szyldkretu w noc jasną, gdy wyjdzie na ląd, by znieść i zagrzebać w piasku swe jaja.

Najpotworniejsze jednak z płazów są *krokodylowate* (Crocodilidae). Znajdują się one w Azji, Ameryce, w Afryce, w Azji, Egipcie, Sudanie, w wodach Nilu, Nigry, Oranży i innych. Powszechnie znajomy jest *krokodyl nilowy* (croc. niloticus, s. vulgaris), choć dziś już bardzo wytępiony i rzadziej od innych spotykany. Dziś dorasta on 20 stóp długości, lecz krokodyle czczone przez dawnych Egipcjan dochodziły czterdziestu a na Madaskarze dziś się jeszcze napotykać dają długie aż sześćdziesiąt stóp pols. Nilowy krokodyl ma głowę najmniej dwa razy tak długą jak szeroką, oczy świecące, zielonawe, opatrzone migawką jak ptaków, by wiecznie jaśniejącego słońca promienie nie raziły mu wzroku, przebywa w wodzie i na lądzie, osiedlając się zawsze blisko ławic piasku, gdzie na rozpalonym od słońca układa się do snu, rozdziawiwszy nozdrza i paszczę. Okryty jest cały pancerzem z bronzowo-zielonawych tarczek złożonym, w czarne nakrapianych punkta. Tarcze w poprzeczne ułożone rzędy wzdłuż całego ciała dachówkowato na sobie leżą, ogon długi i silny z wierzchu grzebieniowym wyrostem z tarcz uzbrojony. Szczęki równej długości wargami nie przykryte, a w szczękach rzadkie, nierówne zęby stożkowate, cztery odnoża, w tylnych palce płetwówką spięte. Virey opisuje jak lew napadał na krokodyla, który z okiem zapalonem, z paszczą rozwartą, z pazurami nastawionemi, dumnie na piasku strasznego czekał przeciwnika. Straszny to obraz walki tych zawziętych na siebie nieprzyjaciół. Lew, dobrze zmierzywszy odległość, z jakiej skok jego może mu się udać, wpada nagle na przeciwnika, i pomimo skóry okrytej sękatym pancerzem, pomimo ciągłych uderzeń twardego i zębiastego ogona napadniętego zwierzęcia, zębami bok mu rozrywa. Krokodyl w ciężkiej swej zbroi trudno się obraca, lecz ostatnich sił wydobywa, zwraca się zapalczywie, a pazurami, zda się, na sztuki poszarpie nieprzyjaciela, i ziejąc wściekłością, pieniąc się i zżymając, straszliwy krzyk ku niebu wznosi. Ziemia broczy się posoką, krzyki rozlegają się po brzegu i zwycięztwo długo pozostaje wątpliwem; lecz wkrótce coraz słabiej włada krokodyl zębiastą swą maczugą, próżne wysilenia jego —

zapóźno. Straszny w swym gniewie lew, rzuca się nań i obala, a gruchocąc w nim kości, wnętrzności wyrywa; jeszcze jedna chwila! Piersi rozdarte i w krwi krokodyla lew gasi swą złość i zemstę!

Głównem pożywieniem krokodyla są ryby, pożera jednak psy, cielęta, a nawet ludzi.

W Gangesie żyje *Gawial* (Rhampostoma gangeticum s. croc. gangeticus) bardzo podobny do nilowego, a w żołądku jednego z nich znaleziono: resztki poszarpanego ciała kobiety, psa, kota i wiele pierścieni, jakie tameczni mieszkańcy noszą.

Z krokodylowatych znane są jeszcze żyjące: w jeziorach amerykańskich *aligatory* (croc alligator), *kajmany* (Caiman) i *jakary* (croc. sclerops, s. Jacare) na wyspach Borneo, Ceylon, w południowej Azji i na Jawie *krokodyl azjatycki* albo *listwowy* (Croc. biporcatus).

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XVII.

(Ciąg dalszy.)

(Wciąż na uboczu. — Prośba nieznajomego. — Folwark w oborze. — Przed laty dwunastu! — Nadzorca robotników na okręcie Brytanja. — Wygnaniec na wyspę Tabor. — Dłoń Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.)

Te ostatnie słowa nieznajomego usprawiedliwiły przeczucia osadników. Przeszłość nieszczęśliwego musiała ukrywać jakiś czyn zbrodniczy, odpokutowany może w oczach ludzkich, lecz z którego własne sumienie snać go jeszcze nie było rozgrzeszyło. W każdym razie winowajca wyznał zgryzoty sumienia i żal, lecz nie czuł się godnym podać dłoń ludziom uczciwym, którzy go oto prosili i którzyby ją byli serdecznie uścisnęli! Bądź co bądź jednak po zdarzeniu z jaguarem, nie powrócił więcej do lasu, i od tego dnia nie opuścił już zagrody Pałacu Granitowego.

Jakaż to tajemnica kryła się w jego życiu? Czy ją wyjawi kiedy? Przyszłość to miała okazać. W każdym razie postanowiono nie żądać jej od niego nigdy i zachowywać się w obec niego tak, jak gdyby go o nic nie podejrzywano.

Przez kilka dni trwało wspólne pożycie dawniejszym trybem. Cyrus Smith z Gedeonem Spilettem zajmowali się razem bądź rozmaitemi pracami chemicznemi, bądź też fizykalnemi. Korespondent porzucał inżyniera wtedy tylko, gdy szedł na polowanie z Harbertem, roztropność bowiem nakazywała nie puszczać więcej młodego chłopca samego w las i mieć się na ostrożności. Nabowi i Pencroffowi również nie zbywało na zatrudnieniu, raz w oborze, to znów w podwórku około drobiu.

Nieznajomy pracował ciągle na uboczu i wrócił na nowo do dawnych swych zwyczajów: nie brał udziału we wspólnym posiłku, sypiał pod drzewami na terasie, nie mięszał się nigdy do ich towarzystwa. Zdawało się istotnie, że obcowanie z tymi, którzy go ocalili, było dlań nieznośnem!

— Lecz w takim razie, zauważał Pencroff, dlaczegoż wzywał pomocy ludzkiej? Dlaczego rzucił do morza ów dokument?

— On nam to sam powie, odpowiadał zawsze Cyrus Smith.

— Kiedy?

— Może prędzej niż się spodziewasz, Pencroffie.

I w samej rzeczy chwila wyznania była niedaleką.

Dnia 10 grudnia, w tydzień po swym powrocie do Pałacu Granitowego, stanął nagle nieznajomy przed Cyrusem i rzekł do niego głosem łagodnym i kornym:

— Panie, miałbym do pana prośbę.

— Mów, przyjacielu, odparł inżynier, lecz wprzódy pozwól mi zadać ci jedno pytanie.

Na te słowa nieznajomy spłonął rumieńcem i już chciał odejść. Cyrus Smith przeniknął co się działo w duszy winowajcy, który obawiał się zapewne, by go inżynier nie zagadnął o jego przeszłość!

Cyrus Smith ręką go wstrzymał.

— Kolego, rzekł do niego, jesteśmy nietylko twoimi towarzyszami, ale i przyjaciołmi. Chciałem ci to powiedzieć, a teraz słucham cię.

Nieznajomy przyłożył rękę do oczu. Opanował go rodzaj drzączki, i stał tak chwil kilka, nie mogąc słowa wymówić. Wreszcie rzekł:

— Panie, chcę, prosić pana o jednę łaskę.

— Jaką?

— Cztery lub pięć mil ztąd, u podnóża góry, macie panowie oborę przeznaczoną dla zwierząt domowych. Zwierzęta te potrzebują starania i opieki. Pozwolisz mi pan mieszkać tam razem z niemi?

Cyrus Smith patrzał na nieznajomego chwil kilka z wyrazem najgłębszej litości, potem rzekł:

— Mój przyjacielu, w oborze tej znajdują się tylko szopy, zaledwie dobre dla zwierząt...

— Będą dobre i dla mnie.

— Mój przyjacielu, ciągnął dalej Cyrus Smith, nie będziemy ci się nigdy w niczem sprzeciwiali. Chcesz mieszkać w oborze, dobrze. Zresztą będziesz zawsze pożądanym w Pałacu Granitowym. Lecz ponieważ chcesz mieszkać w oborze, więc urządzimy tam dla ciebie mieszkanie odpowiednie.

— Mniejsza o to, jakkolwiekbądź, mnie zawsze dobrze będzie.

— Mój przyjacielu, odparł Cyrus Smith, kładąc umyślnie nacisk na to serdeczne nazwanie, pozostaw nam sąd, co w tej mierze uczynić nam przystoi!

— Dziękuję ci, panie, odrzekł nieznajomy i odszedł.

Inżynier uwiadomił natychmiast towarzyszy o propozycji nieznajomego, i postanowiono wybudować w oborze dom z drzewa ile możności wygodny.

Tego samego dnia jeszcze udali się osadnicy do obory z potrzebnemi narzędziami, i zanim tydzień upłynął, stanął dom gotów na przyjęcie nowego gościa. Postawiono go w oddaleniu dwadzieścia stóp od szop, tak że łatwo było ztamtąd czuwać nad trzodą baranów, liczącą już wówczas przeszło ośmdziesiąt sztuk. Sporządzono kilka kawałków mebli, łóżko, stół, ławkę, szafę, kufer i zniesiono do obory broń, amunicję i rozmaite narzędzia.

Nieznajomy przez ten czas nie zaglądał ani razu do swego nowego mieszkania i nie mięszał się wcale do roboty osadników, sam zajęty był bez ustanku na terasie, chcąc zapewne ukończyć do reszty swą robotę. I w samej rzeczy, dzięki jemu, wszystek grunt był obrobiony i gotów pod zasiew na który zbliżał się czas.

Dnia 20 grudnia ukończono przygotowania w oborze. Inżynier uwiadomił wtedy nieznajomego, że mieszkanie czeka na jego przyjęcie, a ten odparł, że uda się tam na tę noc jeszcze.

Tego wieczora osadnicy zgromadzili się we wielkiej sali Pałacu Granitowego. Była właśnie godzina ósma — godzina w której nowy towarzysz miał ich opuścić. Nie chcąc mu się naprzykrzać i zmuszać go obecnością swoją do pożegnania, które mogło mu być nieprzyjemnem, zostawili go samego i udali się do Pałacu Granitowego.

Zgromadzeni zatem we wielkiej sali rozmawiali już od kilku minut, gdy nagle ozwało się lekkie pukanie do drzwi. W tej samej prawie chwili wszedł do sali nieznajomy, i bez wstępnej przedmowy, rzekł:

— Moi panowie, zanim panów opuszczę, słuszna, ażebyście znali moją historję. Jest ona następującą.

Te proste słowa przejęły silnem wrażeniem Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Inżynier powstał ze swego miejsca.

— Nie pytaliśmy cię o nic, mój przyjacielu, rzekł. Masz więc prawo milczeć.

— Obowiązkiem moim jest mówić.

— Więc usiądź.

— Wolę stać.

— Słuchamy cię zatem, odparł Cyrus Smith.

Nieznajomy stanął w kącie sali, otoczony lekkiem półcieniem. Głowę miał odkrytą, obie ręce skrzyżował na piersi, i głosem przytłumionym, jakby się gwałtem przymuszał do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie, którego żaden z słuchaczy nie przerwał ni razu:

— „Dnia 20 grudnia 1854 parowy jach, jakich używają do przejażdżek spacerowych, nazwiskiem *Duncan*, własność pewnego szkockiego *laird'a*, lorda Glenarwan, zarzucił kotwicę u przylądka Bernouilli, na zachodnich wybrzeżach australskich, na wysokości trzydziestego siódmego równoleżnika. Na statku tym znajdowali się lord Glenarvan, jego żona, jeden major armji angielskiej, jeden geograf francuski, młoda dziewczyna i młody chłopak. Tych dwoje ostatnich byli dziećmi kapitana Granta, którego okręt *Brytanja* rok wprzódy zatonął był z całą załogą i z całym ładunkiem. *Duncan* zostawał pod rozkazami kapitana, nazwiskiem John Mangles; i posiadał załogę złożoną z piętnastu ludzi.

„Powód, dla którego jach ten w owym czasie znajdował się u wybrzeży australskich, był następujący:

„Sześć miesięcy pierwej napotkał i wyłowił *Duncan* w morzu irlandzkiem butelkę, zawierającą dokument spisany w językach angielskim, niemieckim i francuskim. Treść tego dokumentu była taka, że z rozbitego statku *Brytanja* pozostało przy życiu jeszcze trzech ludzi, mianowicie sam kapitan Grant i dwóch ludzi z załogi, i że znaleźli przytułek na ziemi jakiejś, której stopień szerokości jeograficznej podany był w dokumencie, a zaś stopień długości, zamazany przez wodę morską, zupełnie był nieczytelnym.

„Ten stopień szerokości południowej wynosił 37° 11'. Stopień długości nie był więc znany, i postępując wzdłuż tego trzydziestego siódmego równoleżnika, przez morza i lądy, można było być pewnym dotrzeć wreszcie do ziemi zamie-

szkanej przez kapitana Granta i jego dwóch towarzyszy.

„Gdy admiralicja angielska wahała się podjąć to poszukiwanie, postanowił lord Glenarvan próbować wszelkich sposobów, aby odszukać kapitana. Mary i Robert Grant weszli z nim w stosunek. Zaopatrzono jach *Duncan* we wszystkie przybory potrzebne do tak dalekiej podróży, w której zamierzali wziąć udział familja lorda i dzieci kapitana, i *Duncan*, opuściwszy Glasgow, skierował ku Atlantykowi, przepłynął cieśninę magekańską i cichym Oceanem puścił się aż do Patagonji, gdzie, jak podług pierwotnego tłumaczenia dokumentu można było przypuszczać, że kapitan Grant znajdować się mógł w niewoli u krajowców.

„*Duncan* wysadził więc pasażerów swoich na zachodnich wybrzeżach Patagonji, a sam odpłynął aby ich zabrać napowrót u wschodnich wybrzeży, u przylądka Corrientes.

„Lord Glenarvan przeszedł całą Patagonję wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, i nie znalazłszy nigdzie śladu kapitana, usiadł powtórnie na okręt dnia 13 listopada, by prowadzić dalej swe poszukiwania po Oceanie.

„Zwidziwszy bezskutecznie wyspy Tristan Acunha i Amsterdam, położone po drodze, *Duncan*, jak to pierwej wspomniałem, przybył do przylądka Bernuilli, na wybrzeża australskie, dnia 20 grudnia 1854.

„Zamiarem lorda Glenarvan było przejść wzdłuż całą Australję, tak jak przeszedł Amerykę, i w tym celu wylądował. Kilka mil od brzegu morza, stał folwark należący do pewnego Irlandczyka, który podróżnym ofiarował gościnne przyjęcie. Lord Glenarvan wyjawił temu Irlandczykowi powód, który go sprowadził w te strony i zapytał go, czyli mu nie wiadomo, że trzymasztowiec angielski *Brytanja*, przed dwoma laty niespełna rozbił się u zachodnich wybrzeży Australji.

„Irlandczyk nigdy nie słyszał o tem zdarzeniu; lecz ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych, jeden ze sług Irlandczyka, mięszając się do rozmowy, rzekł:

„— Mylordzie, dziękuj Bogu i sław imię Jego! Jeśli kapitan Grant żyje jeszcze, to na ziemi australskiej.

„— Coś ty za jeden? zapytał lord Glenarvan.

„— Szkot z rodu, tak jak i ty, mylordzie, odparł ów człowiek, i jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków *Brytanji*.

„Człowiek ów zwał się Ayrton. Był on w samej rzeczy dozorcą robotników na okręcie *Brytanja*, jak o tem świadczyły jego papiery. Lecz rozłączony od kapitana Granta w chwili, gdy okręt rozbił się o skały, sądził dotychczas, że kapitan jego utonął wraz z całą załogą i że tylko Ayrton sam jeden z całej *Brytanji* pozostał przy życiu.

„— Tylko że okręt *Brytanja*, dodał, nie rozbił się u wybrzeży zachodnich, lecz u wybrzeży wschodnich Australji, i jeśli kapitan Grant dotąd jeszcze żyje, jak tego dowodzi dokument, pozostaje on w niewoli u dzikich krajowców australskich, i nie w tej, lecz w przeciwnej stronie należy go szukać.

„Człowiek ów mówił to wszystko głosem pełnym szczerości, a wzrok jego był pewny i wzbudzający ufność. Nie podobna było wątpić o prawdziwości słów jego. Irlandczyk, u którego służył od roku przeszło, zaręczał za niego. Lord Glenarvan uwierzył w prawość tego człowieka i idąc za jego radą, postanowił przejść całą Australję wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Lord Glenarvan, jego żona, dwoje dzieci kapitana, major, Francuz, kapitan Mangles i kilku majtków mieli utworzyć orszak podróżny pod przewództwem Ayrtona, podczas gdy *Duncan* pod komendą zastępcy kapitana, nazwiskiem Tom Austni, odpłynąć miał do Melbourne i tam oczekiwać dalszych rozkazów lorda Glenarvan.

„Dnia 23 grudnia 1854 ruszono w drogę.

„Tu czas wyjawić, że ów Ayrton był zdrajcą. Był on rzeczywiście dozorcą majtków na statku *Brytanja*; lecz pokłóciwszy się ze swym kapitanem, usiłował skłonić załogę do buntu i gwałtem opanować okręt, za co kapitan Grant wysadzić go kazał na zachodnie wybrzeże Australji, i pozostawiwszy go jego losowi, odpłynął; — była to kara słuszna i sprawiedliwa.

„Tak więc nędznik ów nie wiedział nic o rozbiciu *Brytanji*. Dowiedział się o niem dopiero z opowiadania lorda Glenarvan! Od czasu, gdy go wyrzucono samego na ląd, został naczelnikiem zbiegłych skazańców, dlatego zaś utrzymywał z taką bezczelnością, że okręt rozbił się u wschodnich wybrzeży, i dlatego nakłaniał lorda Glenarvan do puszczenia się w tym kierunku, ponieważ miał nadzieję tym sposobem oddalić go od okrętu, opanować *Duncana* i jach ten przemienić na rozbójniczy statek, mający krążyć po wodach Cichego Oceanu."

Tu nieznajomy zatrzymał się chwilę. Głos jego drżał, lecz ciągnął dalej w te słowa:

„Wyprawa ruszyła wzdłuż ziemi australskiej. Wypadła oczywiście niepomyślnie, kierował nią bowiem Ayrton czyli Ben Joyce, jak go wolimy nazwać, a raz przed, raz za nimi postępowała banda złoczyńców, którą uwiadomił o nadarzającym się łupie.

„Tymczasem wysłano *Duncana* do Melbourne, ponieważ potrzebował naprawy. Chodziło teraz o to, ażeby skłonić lorda Glenarvan, by wydał okrętowi rozkaz opuszczenia Melbourne i udania się do wschodnich wybrzeży Australji, gdzie łatwo go było opanować. Zaprowadziwszy orszak podróży dość blisko tych wybrzeży, w głąb nieprzejrzanych borów, gdzie zbywało wszelkich środków do życia, otrzymał Ayrton list, który podjął się sam doręczyć zastępcy kapitana pod którego wodzą zostawał *Duncan*, list zawierający rozkaz, by jach odpłynął natychmiast ku wybrzeżom wschodnim, do zatoki Twofold, oddalonej kilka dni drogi od miejsca, w którem zatrzymał się orszak podróżnych. Tam to naznaczył Ayrton swym godnym wspólnikom miejsce schadzki.

„W chwili gdy list miał mu być wręczoczonym, wykryła się jego zdrada nie pozostawało mu jak tylko uciekać. Bądź co bądź jednak musiał wprzódy dostać ów list, który w jego ręce oddawał *Duncana*. Ayrtonowi udało się przyjść w posiadanie listu i w dwa dni później stanął w Melbourne.

„Dotychczas zbrodnicze jego zamiary wiodły się pomyślnie. Wkrótce miał zwabić *Duncana* do owej zatoki Twofold, gdzie opanowawszy go łatwością przy pomocy swych wspólników i wyciąwszy w pień całą załogę, Ben Joyce miał zostać wszechwładnym panem tego morza... Lecz Bóg miał go zatrzymać u samego kresu zbrodniczego przedsięwzięcia.

„Ayrton, przybywszy do Melbourne, wręczył list zastępcy kapitana, Tomaszowi Austin, a ten przeczytawszy go rozkazał natychmiast rozwinąć żagle; lecz któż wyrazi rozpacz i wściekłość Ayrtona, gdy drugiego dnia żeglugi dowiedział się, że zastępca kapitana prowadzi okręt nie ku wybrzeżom wschodnim Australji, do zatoki Twofold, lecz ku wschodnim wybrzeżom Nowej Zelandji. Chciał się oprzeć temu, Austni pokazał mu list! I, w samej rzeczy dziwnem zrządzeniem Opatrzności, przez przypadkową omyłkę geografa Francuza, który list ten pisał, wskazane w nim jako cel podróży okrętowi były wschodnie wybrzeża Nowej Zelandji.

„Wszystkie plany Ayrtona obróciły się w niwec! Chciał podnieść bunt. Uwięziono go. I tak uprowadzony został ku wybrzeżom Nowej Zelandji, nie mając wyobrażenia ani o tem, co się stanie z jego wspólnikami, ani jaki los spotka lorda Glenarvan.

„*Duncan* błąkał się w pobliżu tych wybrzeży aż do dnia 3. marca. Tego dnia Ayrton usłyszał huk jakiś. To armaty *Duncana* dawały ognia, i wkrótce lord Glenarvan z całą drużyną przybyli na okręt.

„Oto co i jak się stało.

„Po tysięcznych trudach i niebezpieczeństwach, przybył wreszcie lord Glenarvan do celu swej podróży, do wschodnich wybrzeży Australji, do zatoki Twofold. Ani śladu *Duncana!* Zatelegrafował do Melbourne. Odpowiedziano ztamtąd: „*Duncan* odpłynął 18. bm. niewiadomo dokąd."

„Lordowi Glenarvan nie pozostawało teraz jak tylko to jedno przypuszczenie: że uczciwy jego jach wpadł w ręce Ben Joyce'a i został statkiem zbójeckim.

„Ale lord Glenarvan nie chciał dać za wygranę. Był to mąż nieustraszonej odwagi i wspaniałego serca. Wsiadł więc na jeden z kupieckich okrętów, kazał się zawieść na zachodnie wybrzeża Nowej Zelandji, przeszedł ją całą wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, nie napotkawszy ani śladu kapitana Granta; ale u przeciwległych wybrzeży, ku wielkiemu swemu zdumieniu, za wolą nieba, odnalazł owego *Duncana*, zostającego pod rozkazami zastępcy kapitana, który oczekiwał go już od pięciu tygodni!

„Było to 3go marca 1855. Lord Glenarvan znajdował się wreszcie znów na swoim statku, a wraz z nim także i Ayrton. Ten stanął przed lordem, który chciał wydobyć z niego wszystko, cokolwiek zbójca ten mógł wiedzieć o losie kapitana Granta. Ayrton wzbraniał się mówić. Wtedy lord Glenarvan oświadczył mu, że za przybyciem do pierwszej stacji odda go w ręce władz angielskich. Ayrton milczał uporczywie.

„*Duncan* ruszył dalej w podróż wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Tymczasem lady Glenarvan postanowiła przełamać upór zbójcy. W końcu wpływem swym zwyciężyła go, i Ayrton zaproponował lordowi Glenarvan, ażeby w zamian za to, co by miał do powiedzenia, zamiast wydawać go w ręce władz angielskich, wysadził go na jednej z wysp Cichego Oceanu. Lord Glenarvan, który gotów był uczynić wszystko, byle się dowiedzieć coś dotyczącego losu kapitana Granta, przyjął układ.

„Wtedy Ayrton opowiedział historję całego swego życia, z której się okazało, że od dnia, w którym kapitan Grant wysadził go na wybrzeża australskie, nie wiedział o nim nic zgoła.

„Mimo to lord Glenarvan dotrzymał danego słowa. *Duncan* płynąc dalej wytkniętym szlakiem, przybył do wyspy Tabor. Tu miano zostawić Ayrtona, i tutaj także, iście cudownym trafem, znaleziono kapitana Granta z dwoma jego ludźmi,

właśnie pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem. Skazaniec miał zająć ich miejsce na tej odludnej wysepce, i gdy opuszczał jach, przemówił do niego lord Glenarvan w te słowa:

„— Ayrtonie, pozostaniesz tutaj zdala od świata, zdala od ludzi, z którymi nie będziesz mógł utrzymywać żadnej styczności. Nie będziesz mógł umknąć z tej wysepki, na której zostawia cię *Duncan*. Pozostaniesz sam, pod okiem Boga, który czyta w najgłębszych skrytościach ludzkiego serca, lecz nie będziesz mi zgubionym na zawsze, ani przepadłym bez śladu, jak był kapitan Grant. Choć tak niegodnym jesteś ludzkiej pamięci, ludzie będą przecież o tobie pamiętali. Wiem gdzie jesteś, Ayrtonie, i będę wiedział, gdzie cię szukać. Nie zapomnę o tem nigdy!“

„Po tych słowach *Duncan* rozwinął żagle i zniknął wkrótce z przed oczu wygnańca.

„Było to 18go marca 1855 roku.*)

„Ayrton pozostał sam jeden, lecz nie zbywało mu ani amunicji, ani broni, ani narzędzi, ani zboża na zasianie. Do użytku tego skazańca, pozostał dom zbudowany przez zacnego kapitana Granta. Potrzebował tylko żywić się i pokutować w samotności za popełnione zbrodnie.

„Panowie, on szczerze żałował, wstydził się swoich zbrodni, i był bardzo nieszczęśliwym! Powiedział sobie, że jeśli kiedy ludzie przybędą po niego, trzeba aby był wtedy godnym wrócić pomiędzy nich! Jak on cierpiał, ten nieszczęśliwy! Jak on ciężko pracował, ażeby przez pracę uzacnić swą duszę! Jak gorąco się modlił, ażeby przez modlitwę odrodzić się na nowo!

„Trwało tak dwa, trzy lata; lecz Ayrton, przygnębiony na duchu tą ciągłą samotnością, wypatrując nieustannie, czyli okręt jaki nie pojawi się na widnokręgu, zapytując sam siebie, czyli już wkrótce dopełni się czas pokuty, cierpiał jak nikt nigdy nie cierpiał! Ach! jak gorzką jest samotność dla duszy trawionej zgryzotami sumienia!

„Lecz niebo snać nie uznało, by kara tego nieszczęśliwego była wystarczającą, czuł bowiem, że z dniem każdym coraz bardziej dziczeje! Czuł jak zwolna popadał w stan zbydlęcenia! Czy się to stało po dwóch, czy po czterech latach samotności, tego wam powiedzieć nie może, w końcu jednak stał się istotą taką nędzną, jakąście go znaleźli!

„Nie potrzebuję panowie dodawać, że Ayrton czyli Ben Joyce a ja, to jedna i ta sama osoba!“

Gdy Ayrton ukończył swe opowiadanie, Cyrus Smith i towarzysze jego powstali z swych miejsc. Niepodobna wyrazić do jakiego stopnia czuli się wzruszonymi. Taki obraz nędzy, cierpień i rozpaczy w całej nagości roztoczył się przed ich oczyma!

— Ayrtonie — rzekł Cyrus Smith — byłeś wielkim zbrodniarzem, lecz niebo orzekło wyraźnie, żeś już odpokutował twe zbrodnie! Dowodem tego, że ci dozwoliło powrotu między twych bliźnich. Ayrtonie, grzechy twoje są ci odpuszczone! A teraz, chcesz-że zostać naszym towarzyszem?

Ayrton na te słowa cofnął się.

— Oto moja ręka! — rzekł inżynier.

*) Wypadki opowiedziane tutaj w krótkości, wyjęte są z dzieła znanego zapewne niejednemu z czytelników, pt. „Dzieci kapitana Granta.“ I tu, i później zauważają czytelnicy pewne różnice pod względem dat, lecz później dowiedzą się także, dla czego pierwotnie nie mogły być podane prawdziwe daty. (Przyp. wydawcy.)

Ayrton rzucił się na tę rękę, którą do niego wyciągnął Cyrus Smith, i duże łzy pociekły mu po twarzy.

— Chcesz żyć razem z nami? — zapytał Cyrus Smith.

— Panie Smith — odparł Ayrton — zostaw mi jeszcze trochę czasu, pozwól mi mieszkać samemu w oborze

— Niech tak będzie, skoro tego chcesz, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith.

Ayrton chciał się już oddalić, lecz inżynier zadał mu jeszcze ostatnie pytanie:

— Słówko jeszcze, przyjacielu. Jeżeli zamiarem twoim było żyć samotnie, dlaczegoż rzuciłeś do morza ów dokument, który nas na twój trop naprowadził?

— Jaki dokument? — zapytał Ayrton, jak gdyby nie wiedział, o czem mowa.

— Dokument zamknięty w butelce, któryśmy znaleźli, i który całkiem dokładnie oznaczał położenie wyspy Tabor!

Ayrton przyłożył rękę do czoła. Po chwili namysłu odparł:

— Nie rzucałem nigdy żadnego dokumentu do morza!

— Nigdy? — zawołał Pencroff.

— Nigdy!

Rzekłszy to Ayrton, zwrócił się ku drzwiom i odszedł. (C. d. n.)

Z POLA

odkryć, badań i wielkich przedsięwzięć.

Holendrzy i morze to dwa wrogi śmiertelne, wydzierające sobie w walce na śmierć i na życie każdą piędź ziemi, każdy kawałek roli. W historji tego kraju widzimy dokładnie to ciągłe szamotanie się z wrogim żywiołem, to ciągłe mozolne wydzieranie jego zdobyczy i tworzenie coraz nowych środków obrony przeciw napaściom. Walka to straszna, bo dawna jak pamięć ludzka zasięga, a zabójcza jak może żadna inna, bo bywały dni, że sto tysięcy ludzi ginęło, kiedy wzburzone morze przerwawszy groble, z szalonym pędem wpadało w głąb lądu, zalewało wsie i miasta, burzyło wszystko co napotkało, a na to miejsce pozostawiało błoto i jezioro. Od 16tu wieków, to jest od czasu, kiedy się zaczyna historja pisana tych prowincji, żywot mieszkańców nadbrzeżnych, to pasmo walk bez wytchnienia, ciągłe wysilki powstrzymania fal morza, i trzeba było tej cierpliwości, wytrwałości, takiej mocy charakteru, jaką się Holendrzy odznaczają, żeby w tej walce bez przerwy wytrwać i rąk nie opuścić. Przez cały ten perjod historyczny, wtargnięcia morza powtarzają się setkami, a bywały takie, które zatapiały ludność pięćdziesięcio- i stutysięczną. Rzućmy okiem na niektóre główniejsze wypadki tej walki.

W wieku III, wyspa Walcheren oddziela się od lądu stałego; w 860 Ren zmienia łożysko i zalewa pola; zamek Kaliguli zostaje zalany wodą. W połowie XII wieku morze powtarza napad z podwójną energją, jezioro Flevo łączy się za pomocą cieśniny z morzem i przemienia w zatokę, która w 1225 rozszerza się ogromnie i tworzy sławne jezioro Zuyderzee nad osuszeniem którego myśli teraz kraj cały. W pięć lat potem, w 1230 nowa okropna powódź, która zatraca ludność stutysięczną. W następnym roku jeziora Harlemskie zaczynają się pokazywać na powierzchni ziemi, zwiększając się potem ciągle, zlewają ze sobą i tworzą tak zwane morze Harlemskie na falach którego staczają bitwy floty Hiszpanji i Holandji. W roku 1277 zatoka Dollort zalewa powoli najbardziej ludne i żyżne prowincje, rozszerza się ciągle, zatapia 50 wiosek i miasto Torum; dopiero w 16 wieku zdołano powstrzymać jej pochód niszczący. Następnie Zuyderzee przelewa się przez brzegi i w powodzi ginie 80.000 ludzi. W r. 1421 siedmdziesiąt dwie wiosek znajduje się niespodzianie pod falami morza, które cofając się, zostawia na ich miejscu archipelag wysp błotnistych, pokrytych roślinami wodnemi; część kraju została oderwaną z całości i zrobioną nieużyteczną; jest to tak zwany Biesbosch. Aż do naszych czasów katastrofy te powtarzają się w ciągłym szeregu, z tą tylko różnicą, że teraz władając udoskonalonemi środkami technicznemi, jakby bronią udoskonaloną, walka jest łatwiejszą i środki zabezpieczenia dają rękojmię nie powtórzenia się takich okropnych wypadków jak w wiekach średnich.

Aby odebrać choć w części to, co woda zabrała w jednej chwili, trzeba było długiej i niezmordowanej pracy.

Osuszania błot i jezior w Hollandji należą do największych przedsięwzięć nowożytnych, a między niemi najważniejszem dotąd było osuszenie i oddanie rolnictwu do użytku dna jeziora zwanego morzem Harlemskiem. Jezioro to, jak już poprzednio wspomnieliśmy, zwiększało się coraz bardziej, odrywało coraz nowe kawałki roli, aż nareszcie w roku 1836 burza zapędziła je do samych wrót Amsterdamu. Niebezpieczeństwo zalania groziło miastu, postanowiono więc osuszyć jezioro, ustawiono kolosalne pompy i w roku 1852 jeziora 21 kilometrów długiego, 10 szerokiego, a 4 metry głębokiego już nie było. Rezultat ostateczny pokazał, że rząd zrobił na tem bardzo dobry interes, bo wypompowanie kosztowało 33 miljony franków, a ziemia przedstawia już teraz wartość przynajmniej 150 miljonów!

Czyż zresztą większa część Hollandji nie jest obszernem morzem Harlem, które pracowity i energiczny naród w wiekowym pocie czoła osusza? Stoimy naprzykład teraz w obec przedsięwzięcia, któremu jeszcze równego nie było; jest to wypróżnienie Zuyderzee. W sierpniu roku bieżącego, Izba niderlandzka uchwaliła kredyt 8 miljonów złotych (holl) na przeprowadzenie dokładnego sondowania dna tego jeziora, sondowania, mającego ostatecznie zawyrokować, czy dno da się z korzyścią uprawiać, i czy w taki sposób koszta wyłożone na osuszenie, powrócą w przyszłości; dotychczasowe, wprawdzie nie zupełnie dokładne sondowania każą przypuszczać, że grunt na 1 metr głębokości jest wybornym, i że robi się równie dobry interes jak na osuszeniu morza Harlemskiego. Rzeczy zaszły już tak daleko, że król w mowie tronowej określił to przedsięwzięcie jako w zasadzie postanowione, i że główne trudności w wykonaniu są finansowe nie techniczne, ma bowiem wykonanie projektu kosztować 180 miljonów złotych holenderskich! Projekt osuszenia powstał już dziesięć lat temu w 1866, był wtedy oddany komisji złożonej z inżynierów i leżał tam aż do czasu, w którym Heemskerk, jeden z głównie popierających ten projekt, dostał jako minister ster rządu. Jest to człowiek, który sobie postawił jako cel swojej pracy doprowadzenie tego dzieła do skutku, i sądząc z jego prac poprzednich, możemy być przekonani, że będzie to dziełem chwili obecnej.

Rzut oka na mapę Holandji, wystarczy nam do przedstawienia sobie w zarysach robót, jakie się tam mają wykonać. Zuyderzee jest połączone z morzem, trzeba więc przedewszystkiem oddzielić je od niego groblą, i mając wtedy jezioro ze wszech stron zamknięte, wypompować zeń wodę. Grobla ta oddzielająca Zuyderzee od morza, ma przechodzić od Kampen do Enkhuizen (miejsca 40 kilometrów od siebie odległe) wznosząc się na 7 metrów nad średnim stanem wody; po tej grobli ma z czasem przechodzić kolej żelazna. Samo wykonanie tej tylko części, ma kosztować 25 miljonów złotych. Po wykonaniu tej grobli przystąpią do pompowania wody. Cała powierzchnia, którą trzeba osuszyć, wynosi 195.000 hektarów. Jeżeli suma preliminowana 180,000.000 złotych holenderskich nie będzie zmienioną, to tym sposobem koszta osuszenia jednego hektara wyniosą mniej więcej 1.000 zł. hol. W grudniu zaś zeszłego roku sprzedano hektar z dna osuszonego jeziora Wycker po 2.173 złotych, więc w tych warunkach państwo mogłoby na tem zrobić wyborny interes. Lecz nawet i w wypadku straty, podatki opłaciłyby to z czasem całkowicie. Co do czasu potrzebnego do wykonania tego projektu, zdania inżynierów są podzielone. Jedni powiadają, że za lat dwanaście wszystko będzie skończone, drudzy zaś przypuszczają, że praca trwać będzie lat szesnaście. Potrzeba wypompować 5,850,000.000 metrów sześciennych wody.

10.000 koni parowych będzie użytych do pomp, które w 24 godzinach będą w stanie wypompować $6^1/_2$ miljona metrów sześciennych wody.

Ażeby sobie wyrobić pojęcie o doniosłości tego przedsięwzięcia, porównajmy powierzchnie, którą mają osuszyć z powierzchnią Holandji i niektórych jej prowincji. Prowincja Utrecht ma powierzchni 138.560 hektarów, Seelandja 165.700, Limburg 220.550, więc nowa prowincja Zuyderzee ze 195.000 hektarów powierzchni będzie zajmowała miejsce pomiędzy Limburgiem a Seelandją. Całe terytorjum Hollandji powiększy się o część jedną ośmnastą. Patrząc na tę walkę z naturą, w celu zdobycia nowego kawałka ziemi, a więc nowego źródła ekonomicznego bogactwa dla kraju, na te kłopotliwe zabiegi, na pracę w pocie czoła zwykle uwieńczoną dobrym skutkiem, mimowolnie nasuwa się nam pytanie: kiedy też narody dojdą do tego, że w ten tylko sposób zdobywać będą sobie nowe prowincje!

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Pałac i rudera, przez Bolesława Prusa. Warszawa. Gebethner, 1876.

Książka powyższa jest szkicem lokalno-obyczajowym ze senzacyjną tragicznością. Nędza kwitnie tu obok najpiękniejszych instytucyj, jednostek poświęcających się dla dobrobytu ogółu — lecz to poświęcenie budzi odrazę w sercach umiejących czuć i rzeczywiście się litować. — Zestawione są tu dwa czynniki: zastraszającej, miejscami dzikością opisu nieestetycznej nędzy stanu mieszczańskiego — i filantropów hołdujących pracy celem polepszenia stosunków w kraju. Pieczeniarze miastowi, ludzie majętni, próżniaki bez czucia i ze zdrowym żołądkiem, odbywają posiedzenia tygodniowe, spisują memorjały o pauperyzmie, rozprawiają, radzą, piją i odchodzą aby nazajutrz dalej debatować nad opieką i pomocą dla biednych, którzy jednak przed ukończeniem filantropijnych narad z głodu i chłodu kostnieją i nędznie giną. — Całość opowiadania jest wymienioną przeciw ludziom, którym życie spływa wśród roskoszy zdobytych kosztem sierocych łez i wyzyskanej uczciwości nędzarzy. A jednak są to miłośnicy ludzkości, niby żyją dla nędzy drugich, chociaż czynem mordują, a obojętne ich oko umie i łzą zabłysnąć, chociaż kłamaną. — Wszystkie postacie tej opowieści dorabiają się łzami i krzywdą biedaków, pałacowych komnat. — Autor ociemnił swój obraz może nadto przesadną tragicznością i nadał mu kolorytu tak ponurego, że ludzie przedstawiają się nam jako szakale. Gdyby mniej farb czarnych i przesadnych półcieni, a nieco więcej światła, obrazek byłby nierównie korzystniejsze zrobił wrażenie.

— Zasady gramatyki języka polskiego ułożył Ig. Boczyliński; I. Składnia. 16^0 str. 94. Warszawa. 1875. — Zasady gramatyki języka polskiego ułożył Ign. Boczyliński. II. Źródłosłów (Etymologia.) 16^0 str. 119. Warszawa, 1875.

Autor, znany dobrze w zawodzie pedagogicznym, oba te dziełka poświęcił młodzieży dla gruntownego poznania ojczystego języka. W obu korzystał z prac prof. Antoniego Małeckiego i księdza Fr. Ks. Malinowskiego, które się w ostatnim lat dziesiątku ukazały i znakomicie posunęły badania mowy naszej.

Niemiecka.

— Instinkt und freier Wille von Fr. Körner. Leipzig — 1875.

Rękawica rzucona ateizmowi i materjalizmowi. Pomiędzy światem ludzkim a zwierzęcym Körner dostrzega coś więcej jak różnicę ilościową. Autor bierze pod swoje pióro dogmat idealistyczny. Rozumowanie prowadzone jest bardzo sumiennie, i autor wypowiedział wszystko co tylko mógł w obronie swego dogmatu. Psychologia ludzka w obec zwierzęcej stanowi najważniejszy dział tej pracy.

— Beiträge zum Verständniss Kant's von Johann Witte. Meklemburg 1875.

Jest to jedna z najważniejszych prac, wywołanych ogólnym dziś zwrotem do studjów nad Kantem. Autor postanowił wyśledzić, co Kant zrobił dla filozofji w „Krytyce czystego rozumu“. Zdaniem autora Kant zdobył formalną zasadę moralności, ale sferę filozofji moralnej zamknął w zbyt zacieśnionych ramach dając jedynie etykę obowiązku. Należy się nam więc dla wypełnienia całokształtu: Teorja cnoty i dobra.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka i literatura.

Konkurs rozpisany przez Wydział sejmu galicyjskiego na plany mającego stanąć gmachu sejmowego, upływa z dniem 31go grudnia rb. Wystawa przysłanych już planów rozpoczyna się dziś, w niedzielę. Dotąd przyszły następujące plany: 3 z Berlina, 2 z Wiednia, 1 z Warszawy. Z krajowych architektów nikt jeszcze nie przysłał. Plany będą wystawione w jednej z sal gmachu teatralnego.

— Nowo założona księgarnia p. Wł. Zawadzkiego urządza czytelnię obiegową, złożoną z kilkudziesięciu pism polskich, francuskich i niemieckich. Za 4 zł. kwartalnie wszystkie te pisma będzie można mieć u siebie w domu. Myśl to dobra, ale wymagająca bardzo praktycznego wykonania.

— Akwarjum wiedeńskie ma być zwiniętem. Towarzystwo akcyjne utrzymujące akwarjum postanowiło likwidację, przedsiębiorstwo bowiem wymaga znacznej dopłaty.

— Bibljoteka Akad. umiejęt. w Krakowie wzbogaconą została bardzo znakomitym darem, obejmującym dzieł 10,680, rękopismów 158, map ziem Polskich i sąsiednich z różnego czasu 235, rycin około 700, dyplomatów 60, medali 100. Między dziełami różnej treści, znajdują się najcenniejsze zabytki piśmiennictwa polskiego. Zbiór ten szacowny ofiarował Akademji p. Karol Walewski, obywatel Królewstwa Polskiego, który objąwszy go po śp. bracie swoim Cyprya nie, rozporządził nim zgodnie ze znaną sobie myślą tego gorliwego na polu bibljografji i literatury polskiej pracownika. Dar ten, zapełniając niektóre braki nietylko w szczupłej dotąd bibljotecę Akademji, ale i w bogatej bibljotece Uniwersytetu krakowskiego, stanie się nader cenną pomocą, jak w ogólności do poszukiwań naukowych, tak przedewszystkiem dla zajmujących się historją literatury polskiej.

— Staraniem p. Adolfa Pawińskiego wychodzą „Pamiętniki Marcina Matuszewicza“ urodzonego na Litwie w r. 1714, który był doradcą i pośrednikiem w sprawach publicznych przy boku Sapiehów, Czartoryskich i Radziwiłłów. Pamiętniki powyższe, których 3 tomy opuściły już prasę, są nader cennym przyczynkiem do historji panowania Augusta III.

— W Warszawie ma wyjść w w roku bieżącym „Statystyka Królewstwa Polskiego“ przez Witolda Załęskiego.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszedł w Warszawie „Pamiętnik Feliksa hr. Łubieńskiego“ ministra sprawiedliwości Królestwa Polskiego.

— W Warszawie wychodzi obecnie w polskim przekładzie pani Buczyńskiej dziełko p. t. „Dziennik Małgorzatki.“ Książka ta zagranicą miała niezmierne powodzenie, w krótkim bowiem czasie doczekała się szesnastu edycyj. Dziennik“ składa się z ośmiu tomów, z których dwa pierwsze, mieszczące wspomnienia z lat dziecinnych, przeznaczone są dla wieku młodzieńczego i wydane będą oddzielnie. Obecna polska edycja zawierać będzie sześć tomów ozdobionych drzeworytami znanego rysownika p. Tegazzo.

— W teatrze Renaissance w Paryżu wystawiono niedawno nową operetkę Lecoq'a p. t. „La petite mariée“. Libretto, jak wiele nowszych librettów operowych, opowiada dzieje młodej pary nowozaślubionych. Autorami libretta są pp. Letellier i Vanloo. Muzyka bardzo się podobała.

— Mieszkający w Rzymie hiszpański rzeźbiarz Samartin, wykuł w marmurze Kolumba, w chwili gdy tenże stanąwszy na ziemi Amerykańskiej dziękuje Bogu za szczęśliwy wynik swojego przedsięwzięcia. Posąg ten stanie w muzeum Kolumba w Madrycie.

Z pola nauki.

— Spostrzeżenia dawniejsze nad ilością ciepła, jaką słońce w różnych miejscach swej tarczy wypromienia wykazywały, że ciemne jądra plam słonecznych mniej wysełają ciepła, niż jasna powierzchnia słońca, równej jak plama wielkości; oprócz tego, że ilość ciepła, którą środek tarczy słonecznej wypromienia, jest dwa razy większą od ilości ciepła wypromienionej przez brzegi tarczy słonecznej; nareszcie, że ilość ciepła zmniejsza się od środka tarczy słonecznej ku jej brzegom w tym samym stosunku jak ilość światła.

Wyniki tych spostrzeżeń uznane zostały prawie powszechnie, pomimo, że przez żadnego z późniejszych spostrzegaczy nie były sprawdzonemi. Dopiero tego roku zajął się Langley, dyrektor spostrzegalni astronomicznej w Allegany w Zjedn. Stanach p. A. na nowo tym przedmiotem. Zbudował on teleskop według systemu Foucaulta, lecz zamiast soczewek szklannych użył soczewki powiększającej ze soli kamiennej, a to z tego powodu ponieważ sól kamienna promienie wszelkiej łamliwości w równej mierze przepuszcza, gdy przeciwnie szkło promienie za czerwone pochłania. Obraz słońca utworzony przez teleskop powiększył odpowiedniemi przyrządami optycznemi aż do czterech metrów w średnicy, i rzucił go na ścianę, na której się znajdowały potrzebne do pomiarów podziałki.

Dwa małe stosy termoelektryczne ile możności równe i połączone ze sobą i zgalwanometrem, a zamknięte w podwójnym cylindrze, mogły być umieszczone we wszystkich częściach obrazu słonecznego, tak, że jeżeli jedna strona tych stosów znajdowała się w miejscu cieplejszem niż druga, to igła galwanometru okazywała wielkość różnicy ciepła, jaka między temi miejscami obrazu słońca zachodzi, w których stosy termoelektryczne były umieszczone.

Spostrzeżenia te wykonane z wielką starannością wykazały, że plamy słoneczne wypromieniają mniej ciepła, niż jasna część powierzchni słońca równej jak plama wielkości, i w równem jak plama oddaleniu od środka tarczy słonecznej. Spostrzeżenia dawniejsze jednak, według których zmniejszanie się ilości ciepła od środka tarczy słonecznej ku jej brzegom miało zachowywać taki sam stosunek jak zmniejszanie się ilości światła, nie zostały przez badania Langley'a potwierdzone. Gdy bowiem tenże umieścił jeden stos termoelektryczny w czarnem jądrze plamy, a drugi w jasnej części tarczy słonecznej, lecz blisko jej brzegu, to galwanometer nie okazywał prawie żadnej różnicy ciepła między temi dwoma miejscami. Pomimo więc, że plama mniej wysyłała światła niż jasna krawędź słońca, to jednak ilość ciepła od niej pochodzącego nie była mniejszą od ilości ciepła, które jasna krawędź tarczy słonecznej wypromieniała.

Ludwik Wierzejski.

Zjawisko natury.

— Dopiero teraz nadeszły bliższe szczegóły o silnem trzęsieniu ziemi, które nastąpiło w całych Włoszech południowych d. 6 grudnia r. b. Największe szkody poczyniło trzęsienie na stokach Wezuwjusza. W Barile trwało trzęsienie półtorej minuty, przyczem zginęło 53 osób. Jest to zapowiedź nowego wybuchu wulkanu.

Odkrycia i wynalazki.

— Dr. Henryk Schlieman, znany z wykopalisk Trojańskich, bawi obecnie na Sycylji, gdzie robi poszukiwania w celu odkrycia starożytnego miasta Motya, które w r 397 przed Ch. zostało zburzone przez Dyonizjusza. Leżało ono niepodal dzisiejszej Marsali, nad brzegiem morza. Schlieman odkrył już fundamenty dawnych murów.

— Podczas poszukiwań w Pompei, w przytomności p. Larochefoucaulda odgrzebano d. 26 z. m. wielki skarb składający się z przedmiotów srebrnych i złotych. Są to talerze, puhary, źwierciadła, wazy itp. rzeczy; między niemi znajduje się także złotem haftowana sakiewka zawierająca znaczniejszą sumę pieniędzy.

— Wynalazcą bomby ręcznej, później bombą Orsiniego nazwanej, jak donosi „Figaro“ nie był nikt inny, jak Ludwik Napoleon, późniejszy cesarz Francuzów. „Model tej bomby, pisze „Figaro“ oddał on znanemu hr. Libremu w czasie, gdy tenże był we Włoszech profesorem matematyki. Rozumie się, że bomby te miały być materjałem wojennym, a nie narzędziami mordu. Mimo to użył takiej bomby Orsini w r. 1858 do zamachu na życie Napoleona. Interesującą jest także okoliczność, że w r. 1870 Henri Rochefort kierował barykady, na której wynalazek Napoleona, zastosowano na wielką skalę.“

Gospodarstwo.

— Ministerstwa handlu austrjackie i węgierskie udzieliły Karolowi Reczyńskiemu i Leonowi Niesenowi we Lwowie na przeciąg pięciu lat przywileju na osobliwy sposób wprowadzenia w ruch ręcznej młocarni. Opis wynalazku, o którego zachowanie w tajemnicy proszono, jest zachowany w archiwum przywilejów, co na mocy reskryptu ministerstwa handlu z 29 listopada rb. podaje się do powszechnej wiadomości.

ROZMAITOŚCI.

— W życiu Bajrona znajduje się pewna przygoda, o której nigdy nie mógł zapomnieć, uważając ją za jeden więcej dowód szkodliwego i demonicznego wpływu, jaki przeznaczenie do jego osoby przywiązało. Przygoda ta jest następująca. Bajron jak wiadomo wpadł na zuchwałą myśl przepłynięcia Helespontu i to właśnie w tem miejscu, gdzie Leander, wedle podania, powierzył się falom w celu dostania się do Hery. Zdaje się jednak, że prąd przy Dardanellach jest za silny, ażeby je można było w prostej linji przepłynąć i przybić do obranego punktu. Bajron bowiem, rzuciwszy się w fale przy zamku Abydos, dobił do przeciwnego brzegu o trzy mile niżej od wybranego przez się punktu. Towarzyszyła mu w ciągu tej podróży barka, nie potrzebował więc niczego się obawiać. Dostawszy się jednak wreszcie na ląd, uczuł się tak bezsilnym i złamanym, iż z radością przyjął od ubogiego tureckiego rybaka propozycję wypoczęcia w jego chacie. Gościnność ta stała mu się wkrótce niezbędną, bo dostał silnych paroksyzmów febry i rozstać się musiał z towarzyszem swoim, porucznikiem Ekenhead'em, zmuszonym powrócić na fregatę, do której należał. Bajron więc został sam u zacnych ludzi, którzy go tak uprzejmie przyjęli. Rybak nie domyślał się nawet godności i znaczenia swego gościa, a jednak otoczył go wszelką możliwą troskliwością, a żona jego czuwała nad nim jak najpilniej przez pięć dni i nocy, które u nich przepędził. Gdy wreszcie przyszedłszy do sił, poeta wsiadł na łódź, na której miał powrócić, zaopatrzył go poczciwy gospodarz w wielki bochen chleba, ser i naczynie pełne wina. Przy pożegnaniu zaś, wcisnął mu jeszcze oprócz tego, kilka par, tj. maleńkich monet wartości piętnastu centów, pomodlił się zań do Allaha i ze łzami prawie życzył mu szczęśliwej podróży. Za tyle serdeczności, za tę całą troskliwość mógł Bojron tylko w danej chwili słowy okazać wdzięczność swemu gospodarstwu; skoro jednak tylko do domu powrócił, posłał natychmiast swego wiernego sługę, Stefana, z podarunkiem dla rybaka, składającym się z nowych doskonałych sieci, wybornej strzelby, pary pistoletów i dwunastu łokci drogiej materji jedwabnej dla jego żony. Biedni ludziska osłupieli z podziwu na widok tak niespodziewanego a cennego daru. W pierwszym tedy porywie wdzięczności, stary rybak postanowił zaraz nazajutrz przepłynąć na łodzi Helespont, dla podziękowania wspaniałemu dawcy. Nieszczęsnym jednak trafem, właśnie na samym środku kanału, zaskoczyła go nagła burza i biedny, uczciwy człowiek — utonął! Wieść o tem rozpaczą prawie przejęła Bajrona, bo nieszczęście zacnego rybaka swojej złej gwieździe przypisywał.

— Że Anglicy częstokroć mają niezmiernie oryginalne pomysły, przy których wykonaniu nie dbają o koszt ani trudy — rzecz to powszechnie wiadoma. Do najosobliwszych jednak tego rodzaju projektów, należy niewątpliwie następujący, wykonany przed kilku zaledwo laty przez bogatego właściciela ziemskiego w Southampton. Pana tego zawsze nader boleśnie dotykała zupełna nieświadomość, co do przedpotopowych dziejów ludzkości. Otóż, ażeby przyszłym pokoleniom po możebnym nowym potopie podobnej przykrości oszczędzić, polecił ten southamptoński filantrop sporządzić w jednej z największych hut szklannych 140.000 butelek, najsilniejszego i najtrwalszego gatunku, obciągniętych nadto jeszcze gutaperką po wierzchu. W każdą z tych butelek wciśnięto dziesięcio-arkuszowy, najściślejszym drukiem wytłoczony zarys historji powszechnej od potopu Noego do najnowszych czasów. Dziełko to, napisane w angielskim języku, zamówił ów tak troskliwy o potopowe pokolenie southamptończyk umyślnie w tym celu u pewnego londyńskiego literata i zapłacił mu za nie 500 gwinei honorarjum. Następnie, po wciśnięciu w każdą butelkę jednego egzemplarza tych dziejów i hermetycznem zakorkowaniu, cały zapas władowano na specjalnie przeznaczony ku temu statek, który popłynął do Grenlandji i tam złożył swój ładunek w najgłębszych lodowych wydrążeniach i pieczarach. Angielski bowiem filantrop spekulował na to, że jeżeli nastąpi zniszczenie globu, częściowy potop, lub jakaś zmiana w osi ziemskiej, owe pieczary lodowe odtają, a wówczas cały zapas butelek rozprószy się po Oceanie, i do naszych potomków wieść o przeszłości ziemi doniesie.

— W ogrodzie zamku Hamptoncourt położonego w pobliżu Londynu, znajduje się winograd, mający wysokości stóp 110 — z pniem grubym na cali 30 — największy dzisiaj w Europie. Przynosi on corocznie 2500 gron, przeznaczonych jedynie na stół królowej. Ameryka jednak, która we wszystkiem przesadzić musi Europę, szczyci się szczepem winnym w Santa Barbara w Kalifornji, mającym już sto lat wieku — a w pniu $5^1/_2$ stóp objętości. Oliścienie jego pokrywa przestrzeń więcej niż 10.000 stóp kwadratowych, a z dwudziestu kolosalnych jego gałęzi, poczynających się rozrastać na ośm stóp nad ziemią, najgrubsza ma 27 cali objętości. Rocznie wydaje ten szczep około sześciu tonn, czyli 12.000 funtów winogron. Czy są one jednak wybornego gatunku, niewiadomo. Jak się dowiadujemy z jednego z ostatnich numerów „Illinois — Gazette“ olbrzymią tę latorośl winną obecnie wykopano i przeniesiono do San Francisco, zkąd wyprawią ją na „Wystawę Światową“ do Filadelfji. Jest to nowa sztuka, charakteryzująca przedsiębiorczy duch amerykański.

— Przy nadchodzącym sezonie karnawałowym, zdaje się że będzie w porę zbogacić czytelników naszych wiadomością o pochodzeniu polki! Roskoszny ten taniec zawdzięcza swój początek młodej czeskiej wieśniaczce z Elbitnicy w Czechach. Wesoła ta i hoża dziewoja raz w dzień niedzielny popołudniu poczęła dla własnej przyjemności wykonywać taniec zaimprowizowany, do którego spiewała sobie stosowną melodję, także własnego układu. Obecny temu przypadkiem miejscowy nauczyciel Józef Neruda, spisał kompozycję dziewczyny i ów nowy taniec wkrótce na publicznej zabawie w Elbitnicy wprowadził. Około roku 1835 przeniesiono nowy taniec do Pragi i tam, prawdopodobnie dla półkroku będącego jego podstawą. nazywano go „pulka“ a następnie polka. W cztery lata potem już pragski chór pod dyrekcją Perglera, zaniósł tę nowalję do Wiednia i prawdziwą furorę nią wywołał. W r. 1840 Raab, tancmistrz pragski, pierwszy sprodukował się w polce na deskach teatru Odeon w Paryżu, z niesłychanem powodzeniem. Paryż usankcjonował i pochwycił tę nowość, Paryż, a więc i świat cały! Wkrótce najświetniejsze salony zabrzmiały tonami polki i powędrowała ona przez Europę, podlegając po drodze rozmaitym modyfikacjom. Twórcą pierwszej polki, która się w świecie muzycznym pojawiła był Franc Hilmar, nauczyciel w Kopidleo, — następnie, w obec ogólnego entuzjazmu, znakomite talenta nie wzdragały się do kompozycji tego tańca przyłożyć ręki. Obecnie polka, prawdziwa polka tremblante — wychodzi prawie z mody, i nikt już dzisiaj zrobić sobie nie może pojęcia o uniesieniu, z jakiem była przyjętą przez cały świat bawiący się w chwili swego pojawienia.

— Nadanie imienia dziecku zdaje się być dla wielu narodów tak niezmiernie trudnem zadaniem, iż szukają pomocy w tysiącu drobnych środeczków i wskazówek. I tak w Kambodżji dziecię otrzymuje zwykle nazwisko dnia w którym się urodziło. U Szangallasów nadają mu imię, przypominające jakąś okoliczność przy jego urodzeniu, jak np. „Gremodar“ (urodzony w nocy) „Hoohmarkoto“ (urodzony w czasie przyrządzania potrawy zwanej Buzą) itd. Mojżesz pierworodną córkę swoją nazwał Maria tj. gorycz, ponieważ w chwili jej urodzenia nad Izraelitami najbardziej ciężyło egipskie jarzmo. U Koriaków dla dziecka wybiera się losem imię jednego z krewnych, i to przy tajemniczych ceremonjach i zaklęciach. Tatarzy czeremiscy, nazywają dziecię swoje od pierwszej napotkanej osoby, ściśle w sześć miesięcy po urodzeniu dziecka, przekonani są bowiem, że los szczęśliwszy wybór zrobi, niżby oni sami mogli. Niektóre ludy Gwinejskie z pierwszego dźwięku, jaki wyjdzie z ust nowonarodzonego robią dlań imię, u Hebrejczyków częstokroć zostaje imieniem dziecka słowo, jakie ojciec lub ktokolwiek obecny wypowiedział w chwili jego urodzenia. Persowie bez udziału kapłanów i religijnych ceremonji nie nadają imienia żadnemu ze swoich niemowląt, twierdząc że w przeciwnym razie złe duchy obejmują władzę nad nowonarodzonym.

— Rękawiczka była częścią ubrania znaną już w najgłębszej starożytności. Dawid powiada w psalmie 108: że rzuci na Edom rękawicę swoją. Toż samo słowo pojawia się w ks. Ruth i dla usunięcia wszelkiej wątpliwości, objaśnia wyraźnie Talmud, że Izraelici ręce okrywali. Homer przedstawia czcigodnego Laerta pracującego w ogrodzie swym w rękawiczkach, dla uchronienia rąk od kolców i cierni. Xenofont w rozprawie swojej o rozmiękczeniu obyczajów u Persów po śmierci Cyrusa powiada: „Niedosyć że ciało, nogi i ramiona od wpływów powietrza chronią, ale ręce nawet chowają w futrzanych futerałach.“ Warro pierwszy wspomina o rękawicach u Rzymian. W drugiej księdze swej o rolnictwie zaleca oliwki zrywać ręką obnażoną, nie w rękawiczkach, bo smak tracą. Atheneaus w swojej „Biesiadzie Sofistów“ powiada „że najtężsi żarłocy siadali zawsze do stołu w rękawiczkach, ażeby módz chwytać gorące jeszcze sztuki z półmisków i innych tym sposobem odjadać.“ „Srom to prawdziwy! — woła stoik Musonuus Rufus,— że zdrowi, silni mężczyzni miękkiemi i ciepłemi materjami ręce sobie okrywają.“ Od tej chwili aż do dziewiątego stulecia znajdujemy wielką lukę w dziejach rękawiczek; musiał jednakże w tym kierunku ogromny zbytek się objawić, jeżeli nawet kościoł uznał za słuszne wydać rozporządzenie w tym przedmiocie. A mianowicie, za Ludwika Grubego, zakazało koncyljum w Aix mnichom nosić inne rękawiczki oprócz owczych i kozłowych. Powoli także i wielkość ich, w średnich wiekach olbrzymia, przyjmowała umiarkowańsze rozmiary. Rękawiczki przy wielu ceremonjach odgrywały znaczącą rolę. Czytamy, że w r. 1002 dwaj biskupi Paderbornu i Moncery, przez przysłanie im rękawiczek na tę godność wyniesieni zostali. Przy koronacji królów francuskich błogosławiono rękawice, które wkładali następnie na ręce, a Favin utrzymuje, że był to stary południowy obyczaj, zastosowany i przy innych urzędach publicznych. Logicznie tedy było znakiem niełaski i degradacji jeżeli od szlachcica zażądano zdjęcia rękawiczek. Przykład na to znajduje się za panowania Edwarda II w Anglji. Hrabiego Carlisla skazano na śmierć, ponieważ tajną korespondencję ze Szkotami utrzymywał. „Kat — powiada kronikarz Walfingham — oderwał mu ostrogi, zdjął buty i rękawice.“ — Innym przywilejem rękawicy było, że służyła ona za znak wyzwania. W czasie koronacji Jerzego IV angielskiego, odnowiono starogotycki obyczaj i postawiono w podwórcu westminsterskiem zakutego od stóp do głowy w pancerz rycerza, który każdemu przechodniowi nosa rękawicą dotykając, wszystkich którzyby prawom nowego króla zaprzeczali do walki wyzywał. W naszych czasach straciły rękawiczki wszelkie znaczenie historyczne, jest to już tylko artykuł mody, i nic więcej!

Odpowiedzi Redakcji.

D. P. poczta Brody. Spis rzeczy zawartych w tomie II będzie dołączony do przyszłego numeru.

K. U. w P. Serdeczne dzięki za życzliwość, ale myśmy się nie zwykli narzucać. Nieporozumienie ztąd pochodzi, że Czytelnicy nie zwracają uwagi na okładkę, którą dajemy aby się numer nie walał, i aby administracja mogła o wszystkiem uwiadamiać co się do pisma odnosi. Przeszło 100 osób reklamowało numer 51, chociaż na 50 wyraźnie było napisane, że numera następne wyjdą razem jak w roku ubiegłym.

J. B. poczta Ropczyce. Za żądane numera należy się 70 cnt.

Poczyniliśmy wszelkie kroki, aby już w ciągu roku bieżącego „Tydzień“ otrzymał wspaniałe ilustracje, które będą odbijane dla nas w pierwszych zakładach zagranicznych. Ponieważ nie zwykliśmy robić czczych objetnic, przeto czytelnicy nasi mogą być pewni, że projekt nasz jest całkiym realny. Bliższe szczegóły wkrótce podamy. Mimo dodanta ilustracyj prenumerata nie będzie podwyższoną.

Przypominamy wszystkim, którzy dotąd nie odnowili przedpłaty za 7 i 8 tom dzieł J. Dzierzkowskiego, że tom 7 opuścił już prasę.

Treść Nr. 1.

Rok 1876 przez Józefa Rogosza; *Chrzest Polski* powieść J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego (c. d.); *Pamiętniki* Stanisława hr. Małachowskiego, posła z czasów Sejmu czteroletniego (c. d.); *Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie,* przez Dr. Jana Stellę Sawickiego (c. d.); *Idealiści* powieść Jana Lama (c. d.); *Mieczysław Romanowski*, studjum A. Kuliczkowskiego (c. d.); *Indjanka* wiersz Marji B. *Pogadanka* Jana Lama; *Z dziedziny nauk przyrodniczych* przez dr. Z. Rościszewskiego: *VIII. Gady i płazy* (c. d.)· *Tajemnicza wyspa,* przez Juliusza Verne, *część II. Opuszczony* (c. d.) *Z pola badań, odkryć i wielkich przedsięwzięć; Bibliografja. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Od redakcji.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).